MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIX NR 24 — WARSZAWA 4 CZERWCA 1939 R — CENA NUMERU 80 GR

TRZY TENDENCJE W ŻYCIU KATOLICKIEM

I

SZEROKIE masy katolickie, podobnie w Polsce, jak w Italii, b. Austrii, Hiszpanii, Portugalii — nie wiele wiedzą o swej religii. Ludzie „szarzy", a należy do nich nietylko proletariat i warstwa chłopska, ale także znaczna większość t. zw. „inteligencji pracującej", otrzaskali się wzrokowo i słuchowo z symbolami i formułami wiary, mają w oczach obrazy, chorągwie, ołtarze, budynki kościelne — ale już nie pamiętają katechizmu, którego się uczyli we wczesnej młodości. Przestrzegają naogół pewnych minimalnych wymagań, jakie im księża przypominają wciąż z ambon. Wiara ich jest uczuciowa, to znaczy nie starają się jej zrozumieć, ani kształtować według niej swego życia. Jest uczuciem niebardzo złożonem. Polega przedewszystkiem na nie określonym szacunku i poczuciu wzniosłości w obliczu i na wspomnienie wizerunku i żywota Ukrzyżowanego Chrystusa. Na działaniu nastroju uroczystego i piękna obrzędów katolickich. Na przywiązaniu do nabożeństw kościelnych i obyczajów rodzinnych, połączonych z kalendarzem roku kościelnego. Krótko mówiąc, wiara mas to przedewszystkiem nastrój, który się wytwarza tylko w miejscach kultu i tylko w chwilach uroczystości religijnych oraz z okazji ważnych faktów życiowych, jak choroba, śmierć, wojna, klęski żywiołowe. Ażeby masy w wierze wytrwały, trzeba je w niej wciąż podtrzymywać. Tę rolę spełnia Kościół. Moralność człowieka prostego urobiły całe wieki pracy duchowieństwa i świeckiej warstwy kulturalnej. Poczucie moralne mas jest wynikiem głównie podświadomego oddziaływania przeżyć religijnych na całą psychikę człowieka, a także owocem tradycji obyczajowej, przechowywanej w rodzinach. Tę moralność utrzymuje na pewnym poziomie opinia najbliższej gromady społecznej oraz działalność państwa — o tyle, o ile prawo jest zgodne z normami etyki.

Dużą rolę w moralności ludu odgrywają warunki ekonomiczne oraz wpływy i wstrząśnienia polityczne. Osobiste interesy gospodarcze i sprawy rodzinne stanowią główną treść życia ludu. Proletariusz miejski — czy to robotnik mało wykwalifikowany, czy to rzemieślnik, czy urzędnik, przeważnie pracuje sam, jako siła wykonawcza. Niewielki tylko procent ludzi tej warstwy organizuję pracę i kieruje uzależnionymi od siebie wykonawcami. Na wsi olbrzymia większość rodzin chłopskich prowadzi gospodarstwo wyłącznie własnymi siłami, nie wynajmując do pomocy nikogo.

Życie kulturalne ludu polega głównie na konsumowaniu, przyswajaniu elementarnych i najbardziej jaskrawych wytworów kultury, którą tworzą warstwy oświecone i jednostki w ludzie przodujące. Lud to rządzeni, kierowani i oświecani.

Zagadnienie moralności w życiu ludu jest proste, ponieważ samo życie ludu jest proste, a w jego pracy jest mało szeroko sięgającej twórczości i pionierskiego społecznego ryzyka. Chrystus działał głównie wśród ludu i nauki, zawarte w Ewangeliach odpowiadają prostocie życia ludowego. To życie składa się ze spraw elementarnych i nie wiele poza nie wybiega, to też jest nieomal w całości bezpośrednio objęte przez elementarne etyczne wskazania Kościoła. Na podstawie tych wskazań dadzą się łatwo i z całą pewnością rozstrzygnąć wszystkie ważne sprawy życiowe prostego człowieka. Gdyby tego człowieka przyprzeć do muru i wzbudzić w nim dobrą wolę, mógłby sobie sam rozważyć i rozsądzić, kiedy grzeszył, a kiedy czynił dobrze, i jak ma się zachować, jak ten czy inny zamiar przeprowadzić, żeby być w zgodzie z sumieniem. A jeżeli zdarzają się sytuacje, za trudne dla chłopskiego rozsądku, nawet wzbogaconego o katechizmową mądrość moralną, to człowiek prosty zwykle ma możność dotarcia do kogoś rozumniejszego, sta-

nowiącego dlań autorytet, kto mu otworzy oczy i rozjaśni w głowie.

II

Rzadko tylko napotyka człowiek prosty zagadnienia trudniejsze, które nastręczają mu głębokie wątpliwości moralne, niełatwe do usunięcia nawet przez ludzi oświeconych. Np. — jakie gazety czytać? Do jakiej organizacji należeć? Na czyją listę do samorządu lub sejmu głosować?

Oto w tych i podobnych sprawach człowiek prosty przestaje być prostym, włącza się do wielkiego, niezmiernie skomplikowanego życia narodowego, staje się czynnikiem zorganizowanych sił społecznych.

Nawiązuje łączność z warstwą oświeconą i polityczną.

W życiu warstwy oświeconej są te same w zasadzie interesy i dążenia osobniczo-gospodarcze i rodzinne, co w życiu ludu. I do tych spraw łatwo zastosować odpowiednie elementarne wskazania Kościoła.

Ale oprócz tego są sprawy inne, są złożone sytuacje polityczne, są tragiczne przeciwieństwa socjalne, są spory i dylematy dziejowe, które nie dadzą się tak łatwo rozciąć tablicą kamienną dekalogu, w których trzeba dopiero, z tem większą precyzją krytyczną, im rzecz jest poważniejsza, interpretować zasady moralne.

Ludzie warstwy oświeconej operują całościami organizacyjnemi i społecznemi — czasem nawet na skalę narodową i światową. W tej warstwie tworzy się ogromnie złożona, bogata w formy, często chaotyczna, nieraz nowa i niedoświadczona życiem kultura. Tutaj są stery mechanizmów politycznych, tu jest laboratorium myśli naukowej, techniki i sztuki, tu dokonują się odkrycia i wynalazki, tutaj wytwarzają się bogactwa narodów i... zawinione klęski społeczne, tu się tworzą systemy filozoficzne i konstytucje państwowe.

Że w tych dziedzinach twórczości b. trudno sądzić moralnie, a przeto i postępować moralnie, dowodzą tego nieustające a bodaj odwieczne spory wśród nawet najświatlejszych, najbardziej kompetentnych katolików. Dość wspomnieć nieprzebrzmiałe jeszcze dyskusje o znaczeniu Wypraw Krzyżowych, o katolicyzmie „Maritainowskim", o powieściach Mauriac'a i sztuce katolickiej, o roli państwa w wychowaniu, o kwestii żydowskiej, o reformie rolnej, korporacjonizmie i innych sprawach społecznych, o totalizmie politycznym i demokracji. Trzeba przytem pamiętać, że rozbieżności w przekonaniach powodują rozbieżności w działaniu.

Cała ta twórczość zbiorowa, prowadzona i koordynowana przez wybitne jednostki nie da się sprowadzić w swych celach i skutkach do elementarnych, „ludowych" spraw życiowych, o których już jasno rozstrzyga katolicka aksjomatyka moralna.

III

Trzy są wśród katolików główne koncepcje ułożenia stosunku wiary i moralności do kultury świeckiej. Wyznawcy koncepcji pierwszel — nazwijmy ją prymitywistyczną — żywią niechęć do kultury i chcieliby, ażeby warstwa oświecona zrezygnowała z wyrafinowania umysłowego i wielkich ambicyj społecznych i powróciła do prostoty ludowej, do prymitywizmu czasów i ludzi ewangelicznych, albo pierwszych chrześcijan. Ideałem „prymitywistów" jest wiara „wieśniaczki bretońskiej", do czego trzeba albo wielkiego rozumu i świętości, jeżeli się zajmuje wybitne stanowisko społeczne, albo o co znacznie łatwiej, trzeba zająć stanowisko społeczne wieśniaka i prowadzić jego proste życie. Ponieważ geniuszów i świętych ludzkość wydaje niewiele, jak na potrzeby naszych ciężkich i trudnych czasów, przeto należy życie tak uprościć, ażeby nie nastręczało żadnych wątpliwości moralnych. Nie filozofować, nie zajmować się polityką, nie pisać powieści, zlikwidować skoncentrowane, wielkie warsztaty pracy, rozwiązać wszelkie organizacje... Albowiem wyrafinowana kultura nie tylko nie pomaga do zbawienia duszy, ale nawet przeszkadza.

Ta tendencja była dosyć silna w czasach modernizmu z końca XIX wieku. Dziś, jeżeli się jeszcze tu i owdzie odzywa, to b. słabo, to też nie warto się nią zajmować.

IV

Druga koncepcja polega na idei mistycznego opanowania kultury.

Kultura świecka powstała z dążności do zaspokojenia rosnących doczesnych potrzeb jednostki i społeczeństwa. Czy te potrzeby będą większe, czy mniejsze, to w zasadzie, w obliczu posłannictwa człowieka nie ma znaczenia. Do doskonałości nie pomaga ani kaloryfer, telefon, telescriptor, telewizor, radio, samochód i samolot, ani cała sztuka, technika i organizacja życia społecznego. Źródłem doskonałości jest tylko dusza ludzka, a cała kultura — to tylko narzędzie tej duszy, które może być użyte do złego, albo do dobrego. Kultury „wyrafinowanej" może nie być, ale skoro już jest, to realizuje się w niej Boskie dzieło stworzenia; jest ona formą życia człowieka i powinna być przeniknięta treścią wiecznych sił i przeznaczeń ludzkich. Święci rodzili się w chałupach tak dobrze, jak i w pałacach. I najczęściej uciekali z pałaców do chałup. Jednakże kultura wtedy tylko nie daje się pogodzić z chrystianizmem, gdy jest narzędziem zła, gdy np. polega na osobistym komforcie życiowym jednostki w obliczu biedy innych jednostek. Jeżeli zaś praca kulturalna (każda praca jest kulturalna), będzie miała na celu, przy wyrzeczeniu się osobistych przyjemności, zaspokajanie potrzeb życiowych najbliższych i najbardziej upośledzonych bliźnich, wtedy będzie sprzyjać posłannictwu człowieka.

Człowiek ma potrzeby wieczne, których zaspokojenie wytwarza w nim wartości wieczne. Oprócz tego ma człowiek potrzeby doczesne, pochodzące ze skojarzenia duszy z ciałem w bycie ziemskim. Zaspokojenie tych potrzeb daje z jednej strony wytwory materialne, zniszczalne, ale z drugiej — ponieważ w każdej pracy działa dusza ludzka, daje także wartości wieczne, czysto duchowe.

Życie religijno-moralne, które pielęgnuje Kościół, rozwija się według zasad jasnych, jako tako skodyfikowanych w oficjalnej nauce katolickiej. Ale świecka twórczość kulturalna, zwłaszcza pro-

wadzona na większą skalę przez warstwę oświeconą przedstawia takie uwikłanie duszy w hierarchii obowiązków społecznych, takie poprzerastanie wzajemne pierwiastka wiecznego i duchowego z doczesnym i materialnym, że wydedukowanie z prawd absolutnych jakichś gotowych, racjonalnych recept na kulturę świecką jest niezmiernie trudne, bodaj niemożliwe. Dopóki zaś nie ma absolutnej pewności, że dane rozwiązanie wynika z zasad katolickich, nie można go ogłaszać za katolickie, nie można żądać oficjalnego opowiedzenia się za nim Kościoła, bo oficjalne stanowisko Kościoła jest wystąpieniem jego nieomylnego autorytetu.

Czy przeto, w obliczu tych trudności zrezygnować z usiłowań „*instaurare omnia in Christo*"?

Nie. Tylko zamiast racjonalnego i politycznego sposobu oddziaływania na kulturę świecką, obrać raczej sposób mistyczny i apostolski. Więcej energii włożyć w bezpośrednie oddziaływanie na dusze ludzkie, niż w układanie stosunków społecznych i organizowanie instytucyj. Więcej wagi przywiązywać do wytworzenia moralnej postawy, niż do wykoncypowania katolickich programów. Przedewszystkiem wskazywać ludziom cel ich życia, wiązać ich uczucia, myśli i pragnienia z Bogiem, rozwijać w duszach łaskę Boską przez akty religijne, — a potem dopiero szukać dróg katolickich w specjalnościach kultury świeckiej. Szukać najpierw Królestwa Bożego i sprawiedliwości jego.

Przez urobienie dusz tych, którzy tworzą kulturę świecką, w duchu Chrystusowym, katolicyzm będzie przenikał do wszystkich czynności kulturalnych.

Należy dodać, że ta koncepcja apostolsko-mistycznego przenikania katolicyzmem całej kultury ludzkiej, przeważała dotąd w dziejach Kościoła.

V

Trzecia koncepcja polega na idei racjonalnego i kreacjonistycznego opanowania kultury. Powołuje się ona na te okresy wieków średnich, kiedy Kościół tworzył kulturę. Jej wyznawcy wychodzą z założenia, że religia to światopogląd i kształtowanie świata. Z zasad naczelnych, z aksjomatów wiary i moralności należy zbudować system, będący nietylko etycznym ideałem osobowości, ale także programem wszelkiej działalności kulturalnej. I system ten należy rozwijać w miarę pojawiania się nowych problemów, w miarę wzrostu potrzeb społeczności i narodów. „*Sensus catholicus*", nieokreślony „duch katolicki" nie wystarcza. Trzeba ludziom dać racjonalne, jasne wskazania, jak się mają wobec ważnych, konkretnych wydarzeń zachować, i według jakich wytycznych rozwiązywać zagadnienia swego bytu. Najlepszym, konsekwentnym typem religijności, najlepszym sposobem wyznawania wiary jest tworzenie całej kultury ludzkiej po katolicku. Trzeba tworzyć katolicką, czyli dobrą i prawdziwą sztukę i krytykę, katolicką naukę, katolicki ustrój polityczny i społeczny. Trzeba określić oficjalne stanowisko Kościoła wobec każdego ważniejszego faktu dziejowego, wobec każdej (a przynajmniej obchodzącej bezpośrednio katolików) wojny, rewolucji, reformy, ustawy. Trzeba np. zająć zdecydowane stanowisko w kwestii żydowskiej w Polsce, w sprawie parcelacji majątków obszarniczych, bezrobocia, praktyk szpitalnych spędzania płodu i t. d.

Nie chodzi tutaj o prywatne czy „półprywatne" enuncjacje, mające, jak się to mówi, „znaczenie moralne". Chodzi o stanowisko skonkretyzowane, precyzyjnie wyłożone, uzasadnione i konsekwentnie przestrzegane przez całe duchowieństwo, całą Akcję Katolicką i wszystkie jej organa pomocnicze. Rzecz jasna, że gdyby taką działalność rozpoczęli ludzie słabi, do niej nie przygotowani, to było by to typowe wciąganie Kościoła w walki partyjne, w spory socjalne, w dyskusje, tarcia, waśni i kłótnie. Ale Kościół nie może rezygnować zasadniczo z obowiązku tworzenia kultury, z obowiązku zdecydowanego ustosunkowania się do wszelkich doniosłych faktów, z dążności do zapanowania nad biegiem wydarzeń tego świata — tylko dlatego, że w tej chwili nie ma ludzi, którzyby ten obowiązek bez ujmy dla Boskiego autorytetu Kościoła mogli wypełniać. Raczej należy kadry takich ludzi w młodym pokolenie przygotować. W tym celu trzeba zmieniać ducha katolików, propagować wśród nich postawę ofensywną, dynamiczną, społecznie aktywną, i — właśnie angażując (w słusznej sprawie) autorytet Kościoła, stopniowo wskazywać im coraz szersze i konkretniejsze zadania w dziedzinie świeckiej twórczości kulturalnej.

Ta koncepcja racjonalnego i kreacjonistycznego opanowania kultury (oczywiście przy jednoczesnym apostolsko-mistycznym opanowaniu jej źródeł — dusz ludzkich) zdobywa sobie obecnie coraz więcej zwolenników, w miarę jak coraz żywiej zacieśniają się węzły współpracy duchowieństwa z katolikami świeckimi. Niesie w sobie ta koncepcja wielkie niebezpieczeństwa, ale także otwiera niemniej wielkie zbawienne perspektywy. Niebezpieczeństwem głównym, najogólniej mówiąc, byłoby zeświecczenie katolicyzmu; zbawienna perspektywa to — odrodzenie całego życia świeckiego.

TADEUSZ DWORAK

MIKOŁAJ II I REWOLUCJA

(Ciąg dalszy)

BEZSTRONNIE przyznać trzeba, że żadne państwo koalicji nie było przygotowane do wojny, a nawet państwa centralne nie spodziewały się takiej i tak długo trwającej walki. Niepowodzenia, braki w zaopatrzeniu, defetyzm ujawniały się w czasie wojny we wszystkich krajach, biorących w niej udział. Rosja miała olbrzymią armię, ale brak jej było broni i amunicji. Jeszcze w grudniu 1914 r. roiło naczelne dowództwo rosyjskie o wejściu do Krakowa i na Śląsk, już w styczniu 1915 r. rozchwiały się te marzenia. W lipcu 1915 r. fabryki rosyjskie wyrabiały 60 tysięcy karabinów miesięcznie, a brakowało półtora miliona. Pod datą 4 sierpnia 1915 r., w przed-

dzień zajęcia Warszawy przez Niemców, ambasado Palèologue zanotował: „Oświadczam Sazonowowi; że rząd francuski ku swemu wielkiemu żalowi nie może dostarczyć fuzyj armii rosyjskiej", a następnego dnia Palèologue stwierdzał, że w czasie bezustannych i gorączkowych posiedzeń Dumy powtarza się ciągle ten sam refren: „Reform!... Kar!... Trzeba zmienić *régime* od góry do dołu! Tymczasem zachodni sprzymierzeńcy, nie przedsiębrawszy żadnej ofensywy, mogącej odciążyć front wschodni, zażądali pomocy od imperium carów. Na początku grudnia 1915 r. przybył do Piotrogrodu senator Doumer i odmalowawszy Palèologue'owi w czarnych kolorach sytuację wojskową na zachodzie, zakończył konkluzją: „Abyśmy mogli odbudować naszą armię, Rosja powinna nam dozwolić czerpać z jej ogromnych rezerw; może ona dać nam z łatwością 400 tysięcy ludzi; przyjechałem, żeby ich zażądać. Odjazdy powinny się zacząć 10 stycznia". Te odjazdy miały według planów dowództwa francuskiego dokonywać się przez morze Białe. W roku 1915 wojna zagroziła *règimé*'owi przez to, że zarówno wielka część zwolenników wojny do zwycięskiego końca, jak i pacyfistów, przestała popierać monarchę i jedni, aby prowadzić wojną, a drudzy, aby ją zakończyć, projektowali abdykację Mikołaja II. Żaden z ministrów cesarskich nie dopuścił się zdrad, które sądy stwierdziły, skazując Malvy'ego, będącego przez trzy lata w czasie wojny francuskim ministrem spraw wewnętrznych; następcy Goremykina, Stuermer i Trepow, przewidując zakończenie wojny, nie robili jednak w tym kierunku tak daleko posuniętych starań jak Briand i Caillaux. Rosyjska machina państwowa się rozpadła w czasie wojny, gdyż, podobnie do tego, co książe Buelow konstatuje w swoich pamiętnikach, co do wewnętrznej polityki Niemiec i Austrii w czasie wojny, opinia publiczna Rosji od 1915 r. szła na lewo a kierownictwo państwa coraz bardziej liberalizowało, gdy tymczasem w „wielkich demokracjach", które wytrzymały do konca, które p r z e t r z y m a ł y wojnę i przez to ją wygrały, proces był całkiem odwrotny, partje i parlamentaryzm był w Anglii i Francji coraz bardziej przytłumiany i wreszcie w III-ej republice doszło do *quasi*-dyktatury Clemenceau.

Jako postacie, które miały zawładnąć wolą Mikołaja II i usprawiedliwić wybuch rewolucji, wskazuje się zwykle na cesarzową i Rasputina. Gilliard, który najintymniej poznał rodzinę cesarską i patrzył na nią oczami człowieka zachodnio-europejskiego, stwierdza, że małżonka Mikołaja II zaczęła się zajmować polityką z przyczyn czysto uczuciowych, chcąc dopomódz cesarzowi, a nie z powodu ambicji osobistej i pragnienia władzy. Zarzuty germanofilstwa są w w stosunku do Aleksandry Teodorówny nieuzasadnione; Gilliard pisze, że cesarzowa była głęboko dotknięta tymi zarzutami, o których wiedziała, „gdyż oddała się swojej nowej ojczyznie i nowej religii całym swoim sercem: była rosjanką z uczucia tak samo jak z przekonania była prawosławną". Neuropatyczny stan Aleksandry Teodorówny tłomaczy się stanem zdrowia jej jedynego syna, nieuleczalnie chorege na hemofilię, odziedziczoną właśnie przez matkę. Wegług Gilliard'a, z którym, objektywnie na rzeczy patrząc, trzeba się zgodzić, „choroba cesarzowicza dominuje cały okres końcowy panowania cesarza Mikołaja II"; nie ulega wątpliwości słuszność zdania Gilliard'a, o doniosłości znaczenia tego faktu z punktu widzenia historycznego, ale przesadny wydaje się jego wniosek, że to była jedna z głównych przyczyn upadku cesarstwa przez wprowadzenie na pierwszy plan zainteresowań opinii publicznej Rasputina i przez izolowanie się rodziny cesarskiej. Przyznać trzeba, że na cesarzową miał wpływ Rasputin już parę lat przed wojną, w każdym razie od czasu choroby cesarzewicza w 1912 roku, ale Mikołaj II do jesieni 1916 roku nie dopuszczał, aby mu radzono lub odradzano czegoś w zakresie spraw politycznych, powołujac się na „starca". Zamordowanie Rasputina przybrało charakter prologu do rewolucji dzięki ludziom, którzy tego dokonali, chcąc szczerze rewolucji zapobiedz, bo czyż niechcący nie popierał wzrastającej gorączki Puriszkiewicz okrzykami z trybuny dumskiej: „Wstańcie panowie ministrowie! J e ż e l i jesteście p r a w d z i w y m i patrjotami, jedźcie do Stawki (— nacz szt. gen.); rzućcie się do nóg cesarza; miejcie odwagę powiedzieć mu, że k r y z y s w e w n ę t r z n y nie może się przedłużać, że huczy g n i e w l u d u, że g r o z i r e w o l u c j a i że o b s k u r n y c h ł o p nie p o w i n i e n d ł u ż e j r z ą d z i ć R o s j ą". Sprawa Rasputina przydała się rewolucjonistom rosyjskim, jak „*affaire du collier*" destruktorom narodowej monarchii francuskiej z tą różnicą, że w „*affaire du collier*" wszystko co zarzucono Marji Antoninie było kłamstwem, a pozyzja Rasputina usprawiedliwiała krytykę zachowania się cesarzowej pomimo najbardziej szlachetnych motywów, które nią kierowały. Oceniając postacie tak wysoko stojące, nie można się umieszczać na poziomie ulicy.

Brak prawdziwego zmysłu politycznego skłonił prawicę rosyjską i wielkich książąt do nadawania rozgłosu sprawie Rasputina i do utorowania drogi przewrotowi nietylko przez obniżanie autorytetu moralnego przedstawiciela historycznej władzy najwyższej, ale nawet przez akty zdecydowanie rewolucyjne. Już w lecie 1914 r. propaganda zaczęła osłabiać lojalność niektórych pułków gwardii, a mianowicie Wołyńskiego i Pawłowskiego; wielcy książęta Cyryl, Borys, Gabriel i Andrzej zdemoralizowali w końcu 1916 r. najlepsze oddziały wojsk stacjonowanych w Piotrogradzie i w Cesarskim Siole, przygotowując naiwną rewolucję pałacową; nic dziwnego, że w Marcu 1917 roku pułki Wołyński i Pawłowski pierwsze odmówiły posłuszeństwa. „Umiarkowanym" wydawało się, że „odpowiedzialne" ministerstwo, abdykacja Mikołaja II i nowa konstytucja powstrzymają rewolucję; w roku 1916 przeciwko monarsze sprzymierzyli się milcząco germanofile i frankofile, zwolennicy wojny i pacyfiści. O ile „umiarkowani" okazywali kompletną nieznajomość fizjologii ruchu rewolucyjnego, to jednak rewolucjoniści dobrze wiedzieli jakimi środkami osiągnąć zamierzony skutek. Rzecz prosta na ich czele stali doktrynerzy nie związani pochodzeniem z narodem rosyjskim. W końcu 1916 r. przywódzcy socjalistyczni postanowili działać po za ramami legalnymi, Kierenskij i Czheidze rozpoczęli usilną propagandę wśród armii, przekonywając żołnierzy, że jako pochodzący z ludu powinni sprzymierzyć się przeciw władzy z masami robotniczymi, aby zrobić razem rewolucję agrarną.

Rewolucja nadchodziła w najgorszych dla istniejącego *régime*'u warunkach, bo nietylko

w czasie wojny i wskutek wojny, ale inaczej niż w 1905 r., przy braku mężów stanu zdolnych do zmierzenia się z nią. Kryżanowskij słusznie wskazuje, że błędem Mikołaja II było dobieranie ministrów z grona starców biurokratów. Istotnie ostatni ministrowie cesarscy byli ludźmi bez bojowego temperamentu politycznego; niektórzy z nich nie mieli nawet chęci przyjmowania nominacji lub utrzymania się na urzędzie (Goremykiu, Trepow, Pokrowskij). Najbardziej politycznym z pośród ostatnich ministrów był Stuermer; uważał on, że kryzysu wewnętrznego nie da się pokonać w czasie wojny, która może jeszcze długo trwać. Cesarza nie przekonał Stuermer o konieczności jaknajszybszego zawarcia pokoju, ale przygotował go do myśli o pokoju, czego dowodem było zwrócenie się w lecie 1916 r. do Kokowcewa aby przygotował się do wyjazdu w celu rozmów w sprawie pokoju z rządami Anglii i Francji. Ministrowie spraw wewnętrznych z czasów wojny byli ludźmi odpowiednimi dla spokojnego okresu z czasów Kokowcewa, ale nie mieli dalekowzroczności i przezorności, Z pośród dostojników dworskich hrabia Fredericks nie mógł być doradcą ani tembardziej kierownikiem rządu; życie w zamkniętej sferze dworskiej i arystokratycznej, dwudziestoletnie sprawowanie każącego się liczyć z małymi i osobistymi sprawami urzędu ministra dworu, wreszcie wiek (w r. 1917 miał lat 80) nie pozwalały mu rozumieć sytuacji. Nie byli także wcale ludźmi politycznymi inni dygnitarze z najbliższego otoczenia cesarskiego: marszałek dworu książe Putiatin, wielki marszałek dworu książe Dołgorukij, mistrz ceremonii Ewreinow (ostatni miał trochę temperamentu politycznego, ale umieścił go w bałwochwalczym frankofilstwie,).

W 1916 r. wywołana przez wojnę sytuacja polityczna stała się taka, że r e w o l u c j a grożąca stoczeniem państwa na dno klęsk z m o ż l i w e j s t a w a ł a s i ę n i e u c h r o n n ą i trzeba było przewidywać jakie środki należałoby użyć w decydującym starciu fizycznym. To zaognienie nie wynikało bynajmniej ze stanu umysłów ogółu ludności. Nolde stwierdza: „Rewolucja rosyjska ma swoje źródło geograficzne w ruchu ograniczonym do stolicy cesarstwa, za który odpowiedzialność spada całkowicie na różnorodne składniki ówczesnej ludności stołecznej. Po za Piotrogrodem kraj był w przededniu rewolucji zupełnie spokojny i nie można było przewidywać żadnego poważnego ruchu, pomimo ogólnych niedomagań, wynikających z wojny". Na tle skonstatowań Noldego widać, że przewrót w Rosji był, podobnie jak wszystkie rewolucje, dziełem mniejszości liczbowo znikomej w stosunku do ogółu ludności. Bardzo ograniczone liczbowo ośrodki rewolucję przygotowały i samego przewrotu dokonały, przyczem jak zwykle kładkę rewolucjonistom położyli zwolennicy „umiarkowanej" zmiany, reformy a nie rewolucji. I podobnie jak we wszystkich rewolucjach, które od półtora wieku wybuchają na obu półkulach, nie obyło się bez bardzo wybitnego, decydującego prawie współudziału czynników obcych, nawet wyraźnie wrogich.

Jak Anglia prowokowała i wspierała rewolucje francuskie z 1789 r., 1830 i 1848 oraz rewolucje południowo i centralno-amerykańskie ze względu na ultra-egoistycznie pojęte interesy wielko-brytyjskie, tak samo Niemcy i żydzi dołożyli wszelkich starań, aby wywołać rewolucję w Rosji. Polityka antyżydowska Aleksandra III i Pobiedonoscewa została utrzymana przez Mikołaja II. Hrabia Witte był zwolennikiem równouprawnienia żydów, bo naiwnie przypuszczał, że dzięki temu zniknie problem żydowski; będąc w Ameryce w 1905, Witte przyjął delegację potężnych finansowo i politycznie żydów amerykańskich z Jakubem Schiffem i Strausem na czele, później przyjmował podobne delegacje, choć już był „byłym" ministrem w roku 1907 we Frankfurcie i w Paryżu. Żydzi zagraniczni i rosyjscy ukazali się jako sztabowcy ruchu rewolucyjnego w roku 1905 i 1906. W imieniu prasy rosyjskiej pertraktował wtedy z rządem właściciel „*Birżewych Wiedomostiej*" Propper a taktykę demokratów konstytucyjnych („kadetów") układał Winawer; pieniądze już wtedy bywały od Schiffa i Warburga.

Stosunek Mikołaja II do sprawy żydowskiej omówił obszernie generał Nieczwołodow w książce, która wwszła po francusku pod tyt. „*Nicolas II et les juifs*" *(Paris éd. Chiron 1924).* Sformułowanie zasadniczego poglądu cesarza na tę sprawę znajdujemy w przytoczonej we wspomnieniach Kokowcewa decyzji co do wniosku o złagodzenie ustawodawstwa antyżydowskiego, przedstawionego przez Stołypina ze względu na stosunki ze światowymi a w szczególności północno-amerykańskimi potentatami finansowymi. Wtedy, w 1906 roku, Mikołaj II napisał na przesłanym mu do zatwierdzenia dzienniku postanowień rady ministrów. „Zwracam Panu bez zatwierdzenia dziennik Rady ministrów w sprawie żydowskiej. Pomimo bardzo przekonywających dowodów na rzecz pozytywnego roztrzygnięcia w tym przedmiocie-głos wewnętrzny coraz uporczywiej mnie mówi, żebym tego postanowienia nie brał na siebie. Dotąd nigdy sumienie mnie nie okłamywało. Dlatego i w tym wypadku mam zamiar kierować się jego wskazaniami. Ja wiem i Pan także wierzy, że „serce władzy jest w Bożym ręku". Niech tak będzie. Za całą władzę ponoszę wielką odpowiedzialność przed Bogiem i w każdej chwili gotów jestem przed nim stanąć". Jak z powyższego wynika Mikołaj II kierował się w sprawie żydowskiej względami moralnymi a, ściślej mówiąc, religijnymi. Słotypin nie starał się zmienić opinii cesarza tembardziej, że sam był antysemitą i jednym z kroków urzeczywistniających jego program było wprowadzenie w roku 19 *numerus clausus* w stosunku do żydów w średnich zakładach naukowych: Mordercze kule Bagrowa, zabójcy Sołotypina, i Jurowskiego, wodza zabójców rodziny cesarskiej, były kulami mścicieli narodu „wybranego", gdyż obaj byli żydami.

L. G.

(Dok. nast.)

CZAS ODNOWIĆ PRZEDPŁATĘ NA KWARTAŁ TRZECI

PROSIMY ZALEGAJĄCYCH Z OPŁATĄ O WYRÓWNANIE RACHUNKÓW

O WIELKĄ I ZASADNICZĄ SYNTEZĘ

„... trzeba całą przeszłość religijną i polityczną ścisnąć w jedno ognisko, zmienić w jedną płonącą gwiazdę i ogień ten utrzymywać na ołtarzu swego ducha, aby cokolwiek w historii było świętego, prawdziwego i wielkiego, znalazło się w nas, jako ziarno usiewne, jako siła".

(A. Mickiewicz: „Wykłady o literaturze słowiańskiej").

EKSPANSJA gospodarcza Wielkopolan na południowe i wschodnie dzielnice naszego państwa zwraca na siebie coraz większą uwagę. Cała Polska, po polsku myśląca i czująca, patrzy z radością i nadzieją na ten posuwający się z dnia na dzień proces wewnętrznej kolonizacji, witając rodaków z kresów zachodnizh jako pionierów polskiego przemysłu i handlu w pozostałych dzielnicach kraju. Podkreśla się słusznie, że kolonizacja ta, o ile przybierze szersze ramy, może stać się procesem gospodarczym o dziejowym znaczeniu dla naszego państwa i narodu. Zapomina się jednak, lub raczej nie dostrzega, że ekspansja Wielkopolan ma znaczenie nie tylko gospodarcze czy polityczne (potężny czynnik w akcji odżydzeniowej). Ekspansja ta bowiem jest równocześnie przenikaniem wielkich wartości psychiki i charakteru Wielkopolan w najodleglejsze zakątki naszego kraju, w najszersze masy narodu. Stoimy w obliczu przeobrażeń, które w skali szerszej i spotęgowanej mogą wyrządzić narodowi polskiemu nieocenioną przysługę: oto w naszych oczach rozpoczyna się wymiana duchowa między różnemi dzielnicami Polski, wymiana, do której inicjatywę dały tym razem pierwiastki najsolidniejsze, najmocniejsze, najwartościowsze w polskim charakterze z punktu widzenia zarówno państwowego jak też narodowego i społecznego. Wielkopolanie, osiedlający się w różnych punktach kraju, siłą rzeczy przynoszą tam te pierwiastki charakteru, których narodowi polskiemu jako całości zawsze brakowało, a których brak zaciążył fatalnie na naszej przeszłości i ciąży nadal obecnie. Wielkopolska bowiem, co trzeba z całym naciskiem podkreślić, była, jest i będzie wielkim rezerwoarem pierwiastków woli, wytrwałości, stanowczości i niewzruszoności charakteru; na zachodnich kresach naszego kraju skupiają się takie elementy psychiki jak: systematyczność, praktyczność (zarówno w myśleniu jak działaniu) gospodarność, zdolności organizacyjne, głębokie instynkty społeczne, wielkie poczucie odpowiedzialności.

Ktokolwiek zetknie się bliżej z Wielkopolską lub Pomorzem, ten musi odczuć i zauważyć tę zasadniczą odmienność charakteru tych dzielnic w porównaniu z kresami wschodniemi i południowemi. Niezwykle trafnie ujęła tę różnicę p. Maria Kasprowiczowa w artykule p. t. „W Nietążkowie" („Prosto z Mostu" nr. 34 b. r.), który zawierał tyle głębokich myśli. P. Kasprowiczowa, choć sama z pochodzenia Polką nie jest, doskonale wyczuła rozkład poszczególnych elementów psychiki narodu polskiego. „Ze szczególną wyrazistością odczułam podczas ostatniego mego pobytu w Wielkopolsce, że pierwiastek woli i stanowczości skupia się na zachodnich rubieżach Polski. I kto wie, czy nie tutaj wykuje się jej czyn, czy nie stąd wyjdzie rozpęd do jego wykonania z tej rasy ludzi powoli się zapalających, lecz z chwilą gdy są przekonani, idących ku celowi wytrwale i niezłomnie..." Kto zna Wielkopolskę podpisze się pod temi słowami obu rękoma. I pisze dalej p. Kasprowiczowa, że cechą ludu małopolskiego jest natomiast pierwiastek myśli i wyobraźni, że lud ten jest ruchliwszy, ma więcej inicjatywy twórczej i poczucia artyzmu. I wreszcie kresy wschodnie, w których najżywsza jest uczuciowość, szczera serdeczność i dobroć. Charakterystyka niemal bez zarzutu. Że proces wymiany duchowej między dzielnicami daje doskonałe wyniki — udawadnia to p. Kasprowiczowa rezultatami osiągniętemi na Uniwersytecie wiejskim w Nietążkowie. (Abstrahuję tu w zupełności od politycznych wniosków p. Kasprowiczowej zawartych w wspomnianym artykule).

Niestety za mało u nas zwraca się uwagi na to niezmiernie doniosłe zagadnienie psychiki narodowej — na oblicze bio-psychiczne naszego narodu. A tymczasem wglądnięcie w istotę tych problemów odkryje nam rzeczy rewelacyjne, nad któremi nie wolno przejść do porządku dziennego.

Ukazała się nie tak dawno książka ks. Waleriana Baranowskiego p. t. „Wielka tajemnica psychiki narodu polskiego" (Poznań 1936) traktująca właśnie o wspomnianych wyżej problemach. Jest dla mnie rzeczą niezrozumiałą, jak ta niesłychanie ciekawa i interesująca książka, oświetlająca zagadnienie psychiki narodowej i to z nowego zupełnie punktu widzenia — mogła jak dotąd, spotkać się z tak nikłym rezonansem w prasie. A przecież praca ks. Baranowskiego obala powszechnie przyjęte mniemania, poglądy i aksjomaty nietylko szerokiego ogółu ale również sfer naukowych — dochodząc do wniosków mających zasadnicze znaczenie.

Ks. Baranowski wychodzi z założenia, że kluczem do zrozumienia naszej przeszłości i teraźniejszości jak również do mądrego pokierowania przyszłością jest poznanie psychiki zbiorowej narodu. Badając zaś ten problem na przestrzeni wieków, opierając się o wyniki badań historycznych, kulturalnych, socjologicznych, antropologicznych— obrał autor metodę, dotychczas zupełnie nie wykorzystaną i nie praktykowaną. Mianowicie metodę badań regionalnych, co wnieśli do naszej kultury, co reprezentowali, jaka była postawa psychiczna Polaków z różnych dzielnic. I dochodzi autor do bardzo ważnego stwierdzenia, obalającego ogólnie przyjęty w sferach naukowych pogląd: oto nie może być mowy o jednym typie biopsychicznym dla całego narodu. „Dwutypowość biopsychiczna była już właściwa Polsce Piastowskiej i do dziś dnia jest organicznem zjawiskiem psychiki narodowej, która w swoisty sposób zaciążyła na losach naszego państwa i naszej kultury". Jeden typ reprezentują dzielnice zachodnie,

drugi typ wschodnio-południowe Polski. Każdego bowiem musi uderzyć i zastanowić fakt, że wybitne jednostki twórcze z południowo-wschodnich stron wnoszą do naszej kultury talenty poetyckie, literackie, artystyczne, muzyczne, wielkie uzdolnienia humanistyczne (Kochanowski, Skarga, Mickiewicz, Krasiński, Słowacki, Sienkiewicz, Reymont, Żeromski, Wyspiański) podczas gdy od zachodu idzie wiedza ścisła, filozofia, prawo, nauki społeczne, technika, ekonomika, uzdolnienia praktyczno-organizacyjne (Wojciech z Brudzewa, Kopernik, Jan Ostroróg, Paweł Włodkowic, biskup Piotr Tomicki, Frycz Modrzewski, ks. Staszic, Śniadeccy, Fryd. Skarbek, Kazimierz Morawski, E. Estkowski, B. Linde, K. Libelt, K. Marcinkowski, Cieszkowski, Hoene Wroński, Gołuchowski, ks. Wawrzyniak). Oczywiście niema reguły bez wyjątku — takim *par excellence* wyjątkiem na ziemiach zachodnich jest Przybyszewski, Berwiński, gdy znowu na ziemiach południowo - wschodnich Konarski, Kołłątaj, Czacki. Co do tych ostatnich, to, rzecz charakterystyczna, ks. Baranowski wykazuje, że przodkowie ich przywędrowali na południe i wschód Polski właśnie z... Wielkopolski i Pomorza.

Autor „Wielkiej tajemnicy psychiki narodu polskiego" ujmuje te dwa zasadnicze typy biopsychiczne w narodzie polskim jako: refleksyjno-emocjonalny (wybitnie uwrażliwiony na bodźce refleksyjne) i emocjonalno-refleksyjny (wybitnie uwrażliwiony na bodźce emocjonalne). Typ I właściwy polskim dzielnicom zachodnim określa ks. Baranowski następująco: inteligencja samorzutna, obiektywna, praktyczna, analityczna; uzdolnienia idą w kierunku wiedzy ścisłej, filozoficznej, technicznej, ekonomicznej, społecznej z czym się łączą zdolności organizacyjne; dynamika woli uczucia i intelektu powolna, głęboka, silna, wytrwała w zainteresowaniach i upodobaniach oraz w dążeniu do celu, przytem wrażliwa na bodźce kulturalne i wychowawcze. Instynkty społeczne silne o podłożu refleksyjnem; temperament powolny, głęboki.

Typ II emocjonalno - refleksyjny właściwy Polakom z dzielnic południowo-wschodnich: inteligencja bierna, subiektywna, syntetyczna, teoretyczna; uzdolnienia idą w kierunku literackim, artystycznym, humanistycznym; dynamika woli, uczucia i intelektu wybuchowa, ale nie trwała, zmienna w upodobaniach i zainteresowaniach, chwiejna i niezdecydowana w dążeniu do celu, przytem słaba wrażliwość na podniety kulturalne; wymaga przymusu zewnętrznego. Instynkty społeczne słabe o podłożu emocjonalnem; temperament pobudliwy, wrażliwy.

Proszę zastanowić się bliżej nad powyższym schematem ks. Baranowskiego i porównać go z żywą treścią naszej, że tak powiem, psychicznej rzeczywistości. Ktokolwiek styka się, choćby nawet powierzchownie, z Polakami różnych dzielnic i zna jako tako środowiska zachodnie, południowe i wschodnie — ten musi przyznać, że schemat powyższy jest słuszny, zgodny z rzeczywistością, przynajmniej w swym ogólnym zarysie. Z jednym jednak trudno się zgodzić: z tą słabą wrażliwością na podniety kulturalne Polaków z południa i wschodu naszego kraju w przeciwieństwie do Polaków zachodnich. Na jakiej podstawie doszedł do tego ks. Baranowski — trudno mi pojąć. Te dwa zasadnicze typy biopsychiczne — jak wykazuje autor „Wielkiej tajemnicy", były w naszym narodzie od początku jego istnienia i istnieją nadal. Istotnie, ktokolwiek zetknie się z Wielkopolską, czy Pomorzem, musi wyczuć ten zasadniczo odmienny typ Polaka; musi go uderzyć systematyczność, konsekwencja, niezłomna wytrwałość w dążeniu do celu, wielkie zdolności organizacyjne, gospodarność Polaków zachodnich — czyli to wszystko czego tak bardzo a bardzo brak Polakom z innych dzielnic. I z zasady słyszy się od Małopolanina czy Kresowiaka narzekania na tych „zimnych, zamkniętych w sobie, praktycznych, wyrachowanych" Polaków z nad Warty. Przypomnijmy sobie, co pisał przeszło 30 lat temu Dmowski w „Myślach nowoczesnego Polaka": „Polacy z innych dzielnic, spotykając się z Poznańczykami, przykro bywają nieraz dotknięci ich poglądami na życie, ich odmiennemi wprost zasadami etycznemi, razi ich suchy realizm, twardość i nawet w pewnej mierze nielitościwość w pojmowaniu spraw życia. Tłumaczą to sobie zazwyczaj krótko, uważając wszystko za skutek zniemczenia, gdy tymczasem obok pewnego znacznego, co prawda, wpływu kultury niemieckiej działała tu o wiele silniej zmiana typu życia, konieczność przystosowania się do warunków nieustannej walki".

Sporo lat upłynęło od napisania tych słów— a jednak nic się nie zmieniło; ciągle charakter Wielkopolan razi Polaków z innych dzielnic i ciągle tłomaczy się ich odmienność psychiczną jako skutek wychowania niemieckiego. Niestety, ten wysoce szkodliwy i fałszywy komunał ma u nas powszechne prawo obywatelstwa. Doszło nawet do tego, że w polskich szkołach powszechnych szkolne podręczniki państwowe popularyzują i gloryfikują „dobrodziejstwa" pruskiej niewoli. Oto kwiatuszek naszego wychowania państwowego: „Poznali Polacy w zaborze pruskim, że tylko wtedy, gdy będą silni, bogaci i gdy będą się trzymać razem, potrafią się oprzeć wszelkim przeciwnościom i nie dadzą się zniemczyć. Od Niemców nauczyli się gospodarować i pilności w pracy. Dlatego i dziś w Poznańskiem i na Pomorzu najlepiej wieśniak umie gospodarować i największe ma plony z gospodarstwa. I od Niemców nauczyli się tam Polacy oszczędności, zakładania Spółek Handlowych i Banków polskich".

I słusznie zauważa ks. Baranowski, że zdumiony czytelnik przeciera oczy i pyta, czy przypadkowo powyższy podręcznik nie był wydany w Berlinie przez niemieckie ministerstwo propagandy zagranicznej. Niestety, ma to być „Elementarna nauka historii polskiej dla szkół powszechnych" (J. Daszyński i T. Witwicki str. 176), podręcznik wydany przez Państwowe Wydawnictwo Książek Szkolnych we Lwowie — wprowadzony do użytku szkół polskich nakazem ministerstwa WR i OP w Warszawie! Pozostanie ta potworna książka — jak ją nazywa ks. Baranowski — wieczną pamiątką państwowego niedołęstwa.

WŁODZIMIERZ WNUK-KRZEPTOWSKI

(Dok. nast.)

MIECZYSŁAW KARŁOWICZ

W ŚWIETLE NAJNOWSZYCH BADAŃ

NIEWIELE mieliśmy dotąd przyczynków do biografii Mieczysława Karłowicza, którego nie waham się nazwać ojcem polskiej muzyki współczesnej. Epizodyczne artykuły, mniej lub więcej obszerne rozdziały w dziejach muzyki powszechnej, praca F. Kęckiego i parę innych, — oto wszystko, lub prawie wszystko, co na ten temat zostało opublikowane. Dodajmy, że długi szereg zabytków z młodością Mieczysława Karłowicza związanych uległ zniszczeniu bądź przez wojnę, jak dwór w Wiszniewie, bądź też z woli rodziny — (listy, spalone przez Irenę Karłowiczową).

Jeśli się o tem wie, praca rozpoczęta przez znakomitego muzykologa polskiego, dr. Adolfa Chybińskiego [1]) zasługuje chociażby z tych względów faktycznych na miano syzyfowej i przynosi zaszczyt jej autorowi. Z iście zakonną skromnością pisze o tych trudnościach dr. Chybiński w przedmowie do pierwszego tomu swojej monografii o Karłowiczu, która ukazała się w r. bieżącym. Te słowa autora warto jest zacytować chociażby dlatego, aby posłużyły przykładem naszym współczesnym pisarzom, rzucającym bardzo często gromkie frazesy na temat nie zgłębionego dostatecznie... tematu [2]).

„Nie było zamiarem moim przedstawić postać Mieczysława Karłowicza w „aureoli sławy i wielkości". Jeśli w nim jest coś wybitnego i znakomitego, to o tem decydują jego dzieła... Dążyłem według wszelkiej możności do tego, aby postać Karłowicza nie stała się w przyszłości przedmiotem „odbrązowienia", a więc procesu, w którym wraz z elementami przesady, lub wręcz nieprawdy odrywają się od „odbrązowiania" postaci artysty niejednokrotnie również jej cząstki integralne (przynajmniej w myślach czytelnika)... Żadnej zaś indywidualności, posiadającej w naszej nowszej sztuce eksponowane znaczenie, nie groziło i nie grozi ciągle jeszcze w tym stopniu co M. Karłowiczowi omotanie legendami, aureolami, i t. p.".

Wczytując się w książkę dr. A. Chybińskiego, stwierdzamy wiersz po wierszu i stronica po stronicy spełnienie zapowiedzi jego w przedmowie się zawierających. Roztacza przed nami pisarz krajobraz litewski, odbudowuje z posiadanych materiałów spalony dwór w Wiszniewie, sięga — i słusznie do poprzedniego pokolenia, szukając tam zalążków talentu i muzykalności naszego wielkiego kompozytora.

Jakże plastycznie zarysowane są postaci jego rodziców, Jana i Ireny z Sulistrowskich, tych, którzy stworzyli Mieczysławowi Karłowiczowi to tło, które nazywamy wślad za Tainem — „warunkami rozwoju talentu". Należy do nich zaliczyć zamiłowanie Jana Karłowicza do muzyki kameralnej, do zgłębiania tajników harmonii i kontrapunktu. Kto wie czy podobnie jak w życiu Chopina — rola piastunki małego Mieczysia nie była jedną z równie ważnych. Te pierwsze, smutne jak krajobraz wileński piosenki, w których czai się jakaś beznadzieja i rozpacz nie usposobiły kompozytora do tego, a nie innego wyrazu w jego późniejszej twórczości.

To również, co podaje Chybińskiemu red. Zygmunt Wasilewski odnośnie krajobrazu okolic Wiszniewa musiało z pewnością zaważyć na psychice kilkoletniego chłopca o wątłej kompleksji, o usposobieniu zarówno skłonnem do marzeń jak — filozoficznej kontemplacji.

„Te duże jeziora — pisze red. Wasilewski — nie opanowane przez człowieka robią wrażenie pozostałości potopu... Czasami myśliwy pożycza łodzi od rybaków i skrada się szuwarami, a psy, tropiąc kaczki u brzegu, nurkują w trzcinie. Nenufary obojętnie przepuszczają łódź po swoich głowach, czajki, czaple, sinowronki odlatują co dalej od łodzi, a krąży nad nią tylko mewa... Na takiej wodzie panuje melancholia trwania nieosobowego, tęsknoty do życia indywidualnego. Zwłaszcza pod wieczór, na pożegnanie słońca kiedy nie tylko drzewo, ale byle źdźbło w polu rzuca długi cień ku wschodowi, w czystem powietrzu, zdającem się tężeć w kryształ z zupełnego spokoju, płynie często... melodia falą tak długą, nie przerywaną i żałosną, jakby ją podchwytywano w drodze i słano w przestrzenie"... Ten, iście malarski ustęp charakteryzuje najdokładniej krajobraz, wśród którego rósł mały Mieczyś, krajobraz, który wrył mu się w pamięć na całe życie, by kiedyś odżyć barwami dźwięku w „Rapsodii litewskiej" i „Odwiecznych pieśniach". Obiektywnie ale i nie bez sentymentu opowiada nam biograf Karłowicza o kolejnych etapach życia dwu pokoleń. Widzimy zatem przez gotyckie okna dworu wiszniewskiego jego najbliższe otoczenie, słyszymy o zjawie babci Karoliny Sulistrowskiej, o służebnej Magdalci, o krewnych Mieczysława — Śniadeckich, Romerach i Skirmuntach. Pomijamy Jana Karłowicza od strony jego badań naukowych, prac nad „Słownikiem" i — o czem mało komu wiadomo, wykładów jego w warszawskim Konserwatorium. Zauważamy jego pedantyzm, z którym notuje on „wyże i niże" barometryczne, wagę małego Mieczysia i inne zdarzenia rodzinne. W tymże notatniku znajdujemy nie bez wzruszenia datę 11-XII 1876 a tuż obok notatkę „o $1^1/_2$ rano urodził się nam syn Mieczysław Jan"... Od tej chwili dopiero przechodzi dr. Chybiński do właściwego tematu. Z bedyktyńską dokładnością idą po sobie żmudnie zebrane fakty z życia dziecęcego naszego kompozytora. Pierwsze wrażenie, piastunka Janowa, pieśni żeńców (które znalazły odbicie w „Rapsodji", lata niemowlęce, wreszcie wyjazd rodziny do Heidelberga i Pragi. Była to pierwsza podróż małego Mieczysia zagranicę. Można sobie z łatwością wyobrazić, jak silne wrażenie zrobiły na nim zamki niemieckie, czy też słynny „germański las" w Neckerhausen a potem większe miasta, jak Frankfurt, kolonja lub Darmstadt. Przecież wieżyce ich kościołów przerastały sosny litewskie, do których chłopiec przywykł w latach dziecęcych. Tu w Niemczech rozpoczął

[1]) Dr. Adolf Chybiński: Mieczysław Karłowicz T. I Warszawa 1939.

[2]) porównaj z książką Kadena-Bandrowskiego „Życie Chopina" 1938.

M. K. naukę szkolną. Wkrótce po tem ojciec udał się do znanego pedagoga heidelberskiego, Rosenkrantza, zapisując Mieczysia do jego klasy gry skrzypcowej (brat Edmund dawno już grał na wiolonczeli).

Odtąd datuje początek studjów muzycznych M. Karłowicza. Zaczęły się też wycieczki na koncerty, Weber więcej od Brahmsa i Berlioza pociągnął chłopca. Po etapie heidelberskim przyszła kolej na Czechy i Drezno. Tam również, w atmosferze nauki i sztuki muzycznej przebyła rodzina Karłowiczów dwa następne lata. Horyzonty Mieczysława rozszerzały się coraz bardziej. Dzięki atmosferze w domu rodziców, częstym wizytom wibitnych naukowców i artystów dojrzewał w chłopcu nie tylko sam talent, ale i nabierał on żywego kontaktu z życiem współczesnem.

Z kolei - Warszawa, dalsze studia gimnazjalne, poczam konserwatorjum muzyczne, szkoła Stanisława Barcewicza — I jeszcze jeden ważny moment - pierwsze zetknięcie się Karłowicza z pięknem Tatr, gdy miał on lat 12.

Oddajmy głos Barcewiczowi, który odnośnie lekcji z M. Karłowiczem zanotował co następuje.

„Poznałem Karłowicza, jako chłopca dwunastoletniego. Był on moim uczniem przez 6-7 lat. Odznaczał się już wówczas spokojnym i zrównoważonym usposobieniom i szlachetną powściągliwością, które znajdowały swój wyraz również i w jego grze".

Pomimo niekłamanych nadziei ojca, nauka gry skrzypcowej Mieczysława Karłowicza miała być jedynie nowym etapem na drodze ku twórczości kompozytorskiej. Do tego niezbędne jednak były studia teoretyczne, począwszy od harmonji i kontrapunktu. W r. 1891 M. K. pobiera je u Z. Noskowskiego, a następnie u Piotra Maszyńskiego, ówczesnych profesorów konserwatorjum warszawskiego.

Zanim wyjedzie zagranicę do znakomitego Urbana ukazują się pierwsze jaskółki twórczości, z których pierwsza nosi tytuł *„Chant de soir"* na skrzypce i fortepian. Nie mam możliwości wyliczyć kolejnych „opusów" młodocianego kompozytora. Rzadziej jego twórczość oscylowała naówczas dookoła fortepianu, skrzypiec i — może najbardziej przezeń ulubionej — pieśni solowej. Nic bardziej nad pierwszy zeszyt tych pieśni do tekstu Kazimierzą - Przerwy - Tetmajera napisanych nie przyczyniło się do wprowadzenia w świat nieznanego dotąd nazwiska młodego twórcy. Pomimo, iż moglibyśmy idąc wślad za skwapliwie notującym kolejność piórem dra Chybińskiego wymienić długi szereg utworów instrumentalnych z tego okresu życia M. K, wydaje mi się rzeczą pewną, że wokalność jest niezaprzeczonym znamieniem tego etapu życia kompozytora.

Aby móc się wznieść do formy większej, do koncertu skrzypcowego a-dur i w końcu do poematu symfonicznego, potrzeba było Karłowiczowi studjów o wiele gruntowniejszych niż te, które mogła mu dać Warszawa.

Dopiero wyjazd do Berlina i studja kompozytorskie odbyte u prof. Henryka Urbana dały Karłowiczowi pełnej wiedzy a jednocześnie wyzwoliły talent jego z pobocznych wpływów i reminiscencji. Tam w Berlinie, zetknął się M. K. z wielką muzyką Czajkowskiego, Głazumowa, Taniejewa i innych koryfeuszów szkoły rosyjskiej, Tem również poznał dzieła E. Griega, Dworzaka, Brahmsa, którego jednak nie doceniał. Może najbardziej pociągnęły go ku nowoczesnej formie poematu symfonicznego dzieła Ryszarda Straussa *„Don Juan"* *„Till Eulenspiegel"*... Pewien anominowy krytyk dopatrywał się w Nr. 50 „Echa muzycznego" wyraźnych wpływów Straussowskich. W Berlinie osiągnął M. K. nie tylko szlify kompozytora ale i dostąpił zaszczytu wykonania pierwszego utworu symfonicznego. Symfonia e-moll była ostatnią pracą napisaną pod kontrolą H. Urbana. Był to rok 1901, rozpoczynający okres następny życia M. Karłowicza, okres, który objęty będzie następnym tomem cennej pracy dra A. Chybińskiego. Język biografi piękny i jasny, ujęcie przedmiotu nawskroś objektywne, drobiazgowo ściśle w szczegółach,

Z biografią — a raczej jej pierwszym tomem, żegnamy się z prawdziwym żalem, a postać „Artysty i taternika" rysuje się nam w sposób bardzo plastyczny i również piękny.

W—b.

WILGA WOŁA O ŚWICIE:

Nikt nie wie,
Co tej nocy stało się na drzewie!
Na jaworze? Na lipie? Na klonie?
Nie powiem!
Skorupki spadły i leżą wśród traw —
Gdzie paproć? Gdzie szczaw?
Słowicze? Gołębie? Czy wronie?
Nie powiem!

W parowie
Świtaniem przemknął, zniknął zwierz —
Łasica? Czy tchórz? Czy jeż?
Nie powiem!
A jakże mu błyszczał grzbiet
Od rosy!...

...A może tej nocy wykluły się kosy
Na drzewie?
A może świtaniem wychynął kret
W parowie?
Nikt nie wie, nikt nie wie!
Nie powiem!!

AGNIESZKA OSIECKA

NA WIDOWNI

Legenda łysogórska jest uśmiechnięta — Ziemia Reja i Dygasińskiego — Tradycje ciągną powiewami od Puszczy Jodłowej, Sandomierza, Ojcowa. — Dawność spowita w urok ziemi. — Korporacjonizm i regionalizm Koła Kielczan — Wspomnienia osobiste byłych sztubaków i historia — Dygasiński jako tegoroczny patron Kielecczyzny — Pozytywiści odkrywcy życia realnego.

DO FEILETONU niniejszego biorę pochop z wydawnictw, które znalazły się na mem biurku; wymieniam je w przypisku[1]). A za punkt wyjścia niech mi posłuży parę zdań z artykułu wstępnego „Radostowy", w którym mowa o legendzie Łysogór, legendzie wszechobecnej w tych stronach:

„Legendą Wita wędrowca lud rozmowny i ciekawy' legendą wołają do niego zamki i dworzyszcza; powtarza za wiatrem starą baśń kolebiący się ciemny bór na kamienistych a wilgotnych zboczach, powtarzają opowieść obłoki... Wszystko żyje. Żyje siłą miłosnego spojrzenia wieluset pokoleń, które pełnym przywiązania okiem na tę ziemię patrzyły"...

Otóż to: legenda, rodząca się z miłosnego na świat spojrzenia. W czar ziemi spowity duch dawności wita nas tutaj, dawność kultury, — kultury małopolskiej.

Legenda staropiastowa wielkopolska, patrząca ku morzu, w oczach ma smętek; ta Łokietkowa i Kazimierzowa patrzy z wyżyn łysogórskich na równiny wolne aż po Ural i w oczach ma iskierki wesołości. Ziemia Rejów z Nagłowic (nad Nidą) i Dygasińskiego, naszego Reja XIX wieku. Uderzony tym przeciwieństwem pisarz łysogórski — Żeromski dał legendzie pomorskiej mitologiczną postać Smętka. Poetą legendy o małopolskiej dawności był Wyspiański, autor „wesela"...

Archiwariuszem legendy małopolskiej z powiewu sandomierskiego jest p. Aleksander Patkowski, obecny redaktor „Ziemi", organu Pol. Tow. Krajoznawczego, ten, który w r. 1930 wydał olbrzymi „Pamiętnik Świętokrzyski". Zganiliśmy go za to, że przesadził w miłości i zbyt kosztowną, a więc małolotną wydał księgę. A powiewy legendy powinny być lotne. W „Ziemi" jest wiele materiału arcyciekawego z Ziemi Sandomierskiej zwłaszcza. Specjalnie okolicą świętokrzyską zajmuje się „Radostowa" (nazwa góry nad Ciekotami, gdzie chował się Żeromski).

Legenda kielecko-świętokrzyska ma mocne dwa wątki dawności kulturalnej. Jeden z nich — to tradycje kultury obiektywnej, mianowicie gospodarczej. Nie łatwo innym okolicom z nimi współzawodniczyć, jeśli się zważy, że tu mniej więcej, w owym trójkącie bezpieczeństwa, gdzie dzisiaj planowany jest Centralny Okręg Przemysłowy, istniał przed wielu tysiącami lat okręg przemysłowy krzemienny (zagłębie krzemienne). Wszystkie ziemie polskie zaopatrywały się tutaj w wyroby z krzemienia — dość powołać się na odkrycia geologiczne kielczanina prof. Samsonowicza. Wchodzi tu w grę i Ojców ze swymi grotami. A jak stały rzemiosła w późniejszych wiekach, dość przejrzeć ostatni zeszyt „Ziemi", gdzie pokazano zabytki z XIV w.

Drugi motyw legendy dotyczy kultury duchowej pokoleń, które w tradycjach tego regionu ślad swój zostawiły. Tradycjom tym poświęcony jest „Pamiętnik Koła Kielczan", którego tom ósmy (za r. 1938) wyszedł teraz spod prasy. Wydawnictwo to jest organem koleżeńskiego Koła Kielczan, istniejącego od r. 1925. Stowarzyszenia tego byłych wychowańców szkół kieleckich i jego organu podstawą i dynamiką jest kult tradycyj kieleckich. Pamiętnik wskutek tego ma charakter historjograficzny, nie tylko pamiętnikarski, bo myśl puszczona w przeszłość nie znajduje kresu swych zainteresowań. Dobrze się stało, że redakcja ostatnich dwu roczników powierzona została fachowemu historykowi, prof. Juliuszowi Nowakowi Dłużewskiemu.

Zawartość każdego tomu „Pamiętnika" jest tak bogata i interesująca, że pociąga ku sobie czytelników pozaregionalnych. Wspomnieniom szkolnym tutaj zamieszczonym zawdzięczać będą wiele historycy, badający żywoty takich wybitnych kielczan, jak Żeromski lub Dygasiński. Wiele jest tych wspomnień osobistych, ale nie mało też opracowań historycznych. Do tych należą prace redaktora obecnego, jak: „Pierwsze gimnazjum humanistyczne w Polsce" (t. IV), „O dawnym Rakowie" (t. V), „Biskup K. Sołtyk w poezji Sejmu Czteroletniego" (t. VI), „Wymowa szpargałów" (t. VII), „Związek święcony w Kielcach z r. 1659" (t. VIII). W. t. V była rozprawa znakomitego historyka (kielczanina), prof. Kazim. Tymienieckiego „Związki Ziemi kieleckiej z Bałtykiem". Wiele przyczynków i studjów do historii miasta Kielc zamieścił ś. p. Bolesław Markowski, wiceminister Skarbu R. P.

W ostatnim tomie oprócz już wspomnianej pracy p. Nowaka na uwagę zasługuje niezmiernie interesująca praca p. Krystyny Fryczówny pt. „Kielce kongresowe". Składa się ona z trzech części: 1) życie umysłowe Kielc za czasów Królestwa Kongresowego, 2) życie polityczne i towarzyskie Kielc 1816 — 1830, 3) Udział Kielc w powstaniu listopadowem. Autorka podała mało znane szczegóły o sześcioklasowej szkole wydziałowej w Kielcach, założonej w r. 1816, a następnie o założonej w tymże roku Wyższej Szkole Górniczej, wreszcie o seminarium duchownem. Wiąże się ten zarys ze studium B. Markowskiego w jednym z tomów poprzednich o szkolnictwie kieleckiem w latach 1819 — 1831.

Jak widzimy, wspomnienia szkolne dzisiejszych kielczan nie wystarczają „Pamiętnikowi"; sięga on w czasy dziadów, a nawet do wieku XVI, studium bowiem prof. Nowaka o pierwszej szkole humanistycznej w Polsce dotyczy szkoły pińczowskiej (1550). Dawne ruchy umysłowe tej części Małopolski mają złą sławę Arian i Reformacji, ale tradycje szczycą się tem, że w takim Pińczowie uczono już w w. XVI po polsku. W tem świetle każą one patrzeć na czasy Reja i Kochanowskiego, patronów tej dzielnicy. Daw-

[1]) „Pamiętnik Koła Kielczan". Tom VIII, 1938. Kielce, Warszawa 1939. Nakładem Koła Kielczan, str. 117.

„Radostowa". Ilustrowany miesięcznik świętokrzyski. Rok IV, styczeń-luty 1939, Kielce.

„Ziemia" Ilustr. miesięcznik krajoznawczy. Nr. 3. (marzec 1939). Wyd. Pol. Tow. Krajoznawczego. Warszawa.

niejsze gimnazjum im. Reja nosi teraz nazwę Żeromskiego.

Idea przyświecająca Kołu Kielczan i jego organowi, oparcia świadomości regionalnej na tradycjach szkolnych, okazała się zdrową, połączyła bowiem w sobie dwa żywotne motywy: korporacjonizmu, tak bardzo potrzebnego naszej wątłej strukturze społecznej — i tradycjonalizmu regionalnego, podniecającego ambicję twórczą nowych pokoleń. Koło Kielczan i jego Pamiętnik słusznie stawiane są za wzór innym regionom.[2])

Kieleckie sentymenty znalazły dla siebie dobitny wyraz w uroczystym ustosunkowaniu się do obchodu setnej rocznicy urodzin Adolfa Dygasińskiego. „Pamiętnik Koła Kielczan" już w t. V zamieścił dwie prace o Dygasińskim: pióra Z. Wasilewskiego i Zofii z Dygasińskich Wolertowej. Obecnie w ostatnim roczniku zamieścił wspomnienia o nim dr. T. Rakowski. W ostatnim zeszycie „Ziemi" obok pięknych ilustracji widzimy rozprawkę prof. Stefana Kołaczkowskiego o Dygasińskim jako krajoznawcy oraz studium Władysława Wolerta o „Ziemi i ludzie w twórczości D.". Studium to wyszło też w osobnej odbitce. Wolert dodał pracowitą mapę topograficzną, pouczając poglądowo, że akcja powieści D. toczy się przeważnie w regionie Kielecczyzny. W marcu rb. Kielce urządziły w sali teatru wielką akademię ku czci Dygasińskiego. Delegatem Koła Kielczan był prezes Koła E. Zienkowski.

Koło Kielczan powzięło uchwałę w sprawie wzniesienia w Kielcach pomnika Dygasińskiego. Prowadzone są obecnie pertraktacje z rzeźbiarzem St. Ostrowskim, przebywającym teraz we Florencji, aby popiersie, które wykonał za życia Dygasińskiego, powiększyć i odlać w brązie. Koło Kielczan zajęło się także dostarczeniem granitu. Miasto wyznacza miejsce na placu, gdzie dawniej stała cerkiew.

W Dygasińskim legenda kielecko-łysogórska widzi odkrywcę ziemi kieleckiej. Dygasiński był odkrywcą nie tylko turystycznym, który wraz z Beldonkiem przewędrował kawał ziemi małopolskiej, nie tylko krajobrazu, nie tylko człowieka tej ziemi w opisie etnograficznym; odkrył tajniki życia w miastach, chatach wiejskich, w przyrodzie zwierzęcej: odkrył swojskość.

Słusznie prof. Kołaczkowski podniósł ten rys charakterystyczny epoki literackiej — odkrywczość rzeczy najbliższych a nieznanych. Wielką jest zasługa w tym względzie okresu realistycznego pozytywistów. Była to zdrowa reakcja rozsądku na wyjałowienie, spowodowane zbyt wysiloną spekulacją idealizmu poprzednich paru etapów — idealizmu zarówno uczuciowego jak filozoficznego.

Odkrywano realne elementy życia, odkrywano Polskę, odkrywano „rzecz" gdy o idei oderwanej już wszystko powiedziano. Dygasiński jako pedagog uczył, że metody wychowania nie można wyspekulować — trzeba ją odkryć w tem, co życie wytworzyło. Bolesław Prus mówił to samo, co potem Dmowski pokazał w swoim czynie politycznym: polityki nie można wymyśleć, trzeba odkryć drogę polityczną, która istnieje, a której się niedowidzi.

[2]) W sprawach Koła i Pamiętnika — kto by chciał je nabyć — zwracać się należy do prezesa p. Edwarda Zienkowskiego, Warszawa, ul. Filtrowa 75.

Życia polskiego — powie Dygasiński — nie można wyimaginować beletrystycznie, trzeba je odkryć. I dokonał wielkich odkryć. A jak rozumiał potrzebę systematycznego poznawania człowieka, dowodzi fakt, że był inicjatorem „Wisły", organu krajoznawstwa i etnografii polskiej (1887).

ZYGMUNT WASILEWSKI

Z OBCEGO ŚWIATA

ŚLEPY ZAUŁEK POLITKI WŁOSKIEJ

Oficjalna przyjaźń między rządami: włoskim i niemieckim (rządami, nie narodami— narody się nawzajem nie znoszą) została przypieczętowana również oficjalnym układem włosko-niemieckim. Charakterystyczne, że układ podpisany został właśnie w Berlinie i że nosi wszelkie cechy redakcji niemieckiej („...narody niemiecki i włoski są zdecydowane również i w przyszłości występować ramię przy ramieniu i wspólnemi siłami dla zapewnienia swej przestrzeni życiowej..."), bo i też był on posunięciem Berlina, który musiał się przed narodem wylegitymować nowym sukcesem. Sukces ten był wprawdzie odgrzaniem nowego dania i na tle dawnych osiągnięć wygląda niezwykle blado; ślad rumieńca można jedynie dostrzec w zestawieniu z pasmem ostatnich niepowodzeń.

Cały świat zastanawiał się nad tem, w jakim kierunku pójdzie ekspansja Niemiec po zajęciu Czech i poddaniu Słowacji oraz aneksji Kłajpedy. Bo na wschodzie III Rzesza została zahamowana zdecydowaną postawą Polski. Jugosławia? Szwajcaria? Belgia? Dania? Kraje Skandynawskie? Okazało się, że tam, gdzie się nikt nie spodziewał — III Rzesza kroki swe kierowała ku Italii...

I naród włoski to czuje, czuje doskonale. Odnosi się wrażenie, że i rząd również, nie widzi on zresztą dla siebie obecnie innej drogi; został wpędzony w ślepy zaułek, no i stara się w nim jako tako ułożyć. Pozycja bardzo niewygodna. Czy długo można w niej pozostać?

Na ułamku każdego muru we Włoszech widać napisy głoszące radość z powodu przemiany Włoch na imperium. Napisy te wykwitły po zajęciu przez ekspedycyjny korpus włoski Abisynii. Minęło kilka lat i słońce zrobiło swoje — intensywność farby tych napisów wypełzła, a nikt nie kwapi się do ich odnawiania, czując całą śmieszność nowej sytuacji. Bo treść słowa imperium nie oznacza wcale sumy ogromnej kilometrów kwadratowych (przykładem Rosja przed Wielką Wojną). Imperium to coś więcej aniżeli suwerenność, to — panowanie. A czy Włochy dnia dzisiejszego posiadają polityczną suwerenność w pełnem słowa tego znaczeniu?

Niedawno w mowie swej Mussolini zażądał udziału Włoch w zarządzie kanału Sueskiego. Żądanie to w zestawieniu z gromami słów, jakich *il Duce* nie szczędził, wydawało się śmiesznie małe. I rzeczywiście, jest to nie wiele, dla Włoch ma jednak w tej chwili znaczenie zasadnicze i odsłania słaby punkt polityki imperialnej Rzymu. Oto Rzym nie może w należyty sposób eksploatować bogactw Abisynii, ciągnąć z niej tych korzyści, jakie dać może i powinna. Trudność utrzymania tej kolonii pcha go w ramiona Berlina, ale uścisk tych ramion może w przyszłości Rzym pozbawić wogóle jej afrykańskich dzierżaw.

NAUKA I LITERATURA

O NIEMCEWICZU

KSIĄŻKA Karola Zbyszewskiego: „Niemcewicz od przodu i tyłu” [1]) ukaże się niebawem na półkach księgarskich, tym razem już jako drugie wydanie. Jedni to nazwą poprostu sukcesem, drudzy skandalem. Kto jakie woli słówko. Rzecz gustu.

Tylko... Tylko, że ci, którzy najgłośniej krzyczą „Skandal!” i przytem manifestacyjnie rozdzierają szaty, najmniej mają prawa do podnoszenia krzyku, czy pospolitszego jeszcze wrzasku. Bo ci właśnie należą do tego miłego gatunku, dla których jakieś wydarzenie literackie bez posmaku sensacyjki jest czemś, na co było szkoda i trudu pisania. Powiedzmy sobie jasno: rzecz w tem, że właśnie kto inny dziś robi sensację, ktoś nie z ich paczki, literackiej „sitwy“. Więc i oburzenie. Głośne. Żeby wszyscy słyszeli. I odrazu: „Boyowi zarzucaliście erotomaństwo, a co nawypisywał ten wasz i katolicki i narodowy i tradycjonalistyczny Zbyszewski!”

Otóż przedewszystkiem owo „wasz” i „nasz”. Charakterystyczne. I gdzie ów obiektywizm, o który walczycie? Nie nasz, więc go zdusić, za wszelką cenę zdusić. No, ale delikwent żyje. I ma się dobrze. I właśnie robi korektę drugiego wydania swej książki.

Pierwszy pocisk zarzutów: erotomaństwo w manierze Boy'a (inne maniery niedouczkom nieznane), tylko oczywiście nie na tym co Boy poziomie, nie takim co Boy językiem i t. d.

Otóż czego, jak czego, ale erotomaństwa i to jeszcze w boyowej manierze dopatrzeć się trudno. Poprostu — nie sposób (chyba, że ktoś ma swoje sposoby...).

Zbyszewski wcale nie twierdzi, że *sexus* był motorem działania Niemcewicza, tak, jak to utrzymywał Boy, pisząc o Sobieskim i Marysieńce. Zbyszewski bynajmniej nie wmawia w czytelnika, że dzięki romansowi z wysoką, kościstą, karą, szpetną panią Lucchesini, poseł Niemcewicz wziął się za montowanie przymierza polsko-pruskiego. Napatoczyła się okazja, z której rad skorzystał, gdyż dotychczas, jeśli idzie o stosunek do kobiet, „... czas (mu) schodził (jedynie) na wstępie do prawdziwego flirtu”. Pretensja, że autor nie omijał spraw związanych z alkową? Proszę je ominąć, pisząc o wieku XVIII-stym! Że nie potraktował ich dyskretnie? Oh, ta chorobliwa dyskrecja, dająca pole do tysiąca domysłów, wywołujących niezdrowe rumieńce na twarzy! Można, i owszem, czarem epoki przesycić „łazienki” kasztelana Jezierskiego wybudowane podle królewskiego zamku, a i można to senatorskie przedsiębiorstwo nazwać poprostu tem, czem było — domem publicznym. I teraz pytanie, co jest bardziej właściwe?

Nazywa Zbyszewski rzeczy po imieniu, ale po imieniu zwała je cała staropolska literatura — weźcie chociażby do ręki Potockiego z Potoka Wacława. Przypomniał w literaturze *tempo rubato*, no i w wyniku cały atak pruderii, hipokryzji. Programowa nagonka pisarzy poprzebieranych w skóry jagniąt niewinnych, takich najniewinniejszych.

Drugi pocisk zarzutów: Zbyszewski oplwał historię, („oplwał” to takie koturnowe wyrażonko szczególnie nadające się przy okazji rozdzierania na piersi szat). Napisał paszkwil najzłośliwszy, posypał inwektywami, jak z rękawa.

Tak jest. Ani mu się śni nawet bronić się przed tym zarzutem. Mógłby tylko odpowiedzieć słowami Krasickiego:

Wolno szaleć młodzieży, wolno starym zwodzić,
Wolno się na czas żenić, wolno i rozwodzić,
Godzi się kraść ojczyznę, łatwą i powolną:
A mnie sarkać na takie bezprawia nie wolno?

Zbyszewski napisał paszkwil. To także przejaw poddania się atmosferze wieku XVIII-go, gdzie paszkwile krążyły z rąk do rąk w tysiącznych odmianach. A któż to — wolno spytać — reagował wówczas na nie najbardziej dobitnie? Kto napisał „Antidotum przeciw zbyt rozmnożonym paszkwilom”? Trembecki, Stanisław Trembecki, co to nie mógł odróżnić swego wizerunku od Kiopka, królewskiego pieska...

Trzeci pocisk zarzutów: Zbyszewski nie uszanował króla, no a Mackiewicz, który nie dalej jak rok temu protestował w „Słowie” przeciw skrytemu przewiezieniu zwłok Stanisława Augusta pisze pochwałę „paszkwilanta“.

Ja również rok temu domagałem się „godziwego“ (jak to świetnie określił Gralewski) pogrzebu Króla, więcej — domagam się go dzisiaj. Zawsze będę żądał poszanowania Króla — pierwszego stanu Rzeczypospolitej. To samo, mam wrażenie, Zbyszewski, to samo jestem pewien, Mackiewicz. Ale nikt z nas nie wyzbędzie się jednocześnie słów krytyki dla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Na to nas stać. Więcej — biorę w obronę jego ogromne zasługi na polu kultury, których Zbyszewski nie oszczędził, no bo ostatecznie, pisał paszkwil, a nie żadne *vie romancée*, jak modnie utrzymują wszyscy.

Trzeba powiedzieć jedno: druga połowa wieku XVIII, aczkolwiek dla nas tak bardzo tragiczna, posiada jakiś urok, urok rokoka tak genialnie wyrażonego przez Watteau w „Odjeździe na Cyterę“, urok w kręgu którego znajdujemy się niemal wszyscy. I Zbyszewski również: dowodem, chociażby to, iż przez siedem lat „ślęczał“, studiując epokę nie inną, tylko tę właśnie, w której Niemcewicz pisał swój „Powrót posła“.

I znowu pocisk zarzutów. Tym razem mój. „Iskrzący się dowcipem humor“ właśnie za często się „iskrzy“. Zbyszewski dla osiągnięcia dowcipu poświęca nieraz wiele. Bardzo nawet wiele. Czy było to konieczne? Wydaje mi się, że nie. Napewno nawet nie. Autor nie ma potrzeby wysilać się na dowcip — to pewna. Czy jest wciąż dumny z takiego zestawienia: „Bóg i Katarzyna“? Czy w zdaniu „... do Wistyc — 7 bitych mil — drałował piechotą, by się tamtejszej Matce Boskiej, przypodobać“ słowo „tamtejszej“ nie razi go nic a nic? Czy rzeczywiście należy wyśmiewać wiarę w cudowną moc dzwonka loterańskiego, przeciwstawiając jej zadowolenie naiwne człowieka, który wynalazł piorunochron?

Zbyszewski w przedmowie do książki umieszcza swe katolickie wyznanie wiary. To już niedobrze, że czuł, iż musi je umieścić.

Jeszcze jedno pytanie: czy słusznie zrobiono, dyskwalifikując pracę, jako pracę doktorską? Odpowiem poprostu: nie wiem. Nie jestem profesorem historii i nie czuję się ani na jotę kompetentnym do wydania sądu.

Niech inni zabiorą głos. Tę kwestię z konieczności przemilczeć muszę. Ale książki nie przemilczałem. Nie mogłem.

JAN BAJKOWSKI

[1]) Karol Zbyszewski: Niemcewicz od przodu i tyłu. Str. 384. Z przedmową Stanisława Mackiewicza.

WIECZYSTA PRZEMIANA

NIETYLKO wybitni znawcy starożytności klasycznej, jak prof. T. Zieliński i prof. T. Sinko, ale także najlepsi współcześni pedagogowie zwracają raz po raz uwagę na niebezpieczeństwo zaniku kultury klasycznej w młodym pokoleniu, wychowywanym zbyt jednostronnie w wiedzy matematyczno-przyrodniczej i umiejętnościach technicznych. Ostatnio wysunięto nawet projekt, aby łacinę uczynić językiem międzynarodowym.

Warto przytoczyć, dla zilustrowania tendencji odrodzenia kultury klasycznej, parę znakomitych myśli z książki T. W. Foerstera „Stare i nowe wychowanie”, wydanej w

przekładzie polskim w r. 1938. Otóż w rozdziale p. t. „Wieczna pedagogiczna wartość starożytności" m. in. czytamy:

„Język łaciński jest jak żaden inny na świecie, wychowawcą do właściwego i uporządkowanego myślenia. Może to właśnie dla tego, że był to język narodu, który nie produkował myśli, ale instytucje, a mianowicie instytucje tak silnie zakorzenione w rzeczywistości życia i natury ludzkiej, że wydają się być niezniszczalnemi, podobnie jak stare kamienie ciosowe rzymskiego Kapitolu. Wielkość i siła wychowawcza języka łacińskiego polega na niezrównanej głębokości i konsekwencji każdej jego wypowiedzi. Każde zdanie wyprowadza się z jasnej i prostej rzeczywistości".

Kto wie, czy pewnego obniżenia poziomu pisarstwa polskiego w dobie obecnej nie należy w znacznej mierze tłumaczyć osłabieniem łączności z kulturą klasyczną. Dotyczy to przedewszystkiem poezji, następnie strony stylistycznej literatury i wymowy.

W Polsce na antyku łacińskim zna się jako tako starsze pokolenie. W tej chwili, jako na nowy przejaw tych zainteresowań, wskazujemy na książkę p. Zygmunta Glinki p. t. „Wieczysta przemiana" [1]). Ciekawy to eksperyment literacki: rzecz, jak informuje autor w uwadze wstępnej, składa się z dwóch części wzajemnie poprzeplatanych; „jedną stanowi przekład wyjątków z „Metamorfoz" Owidiusza oparty na tekście oryginalnym, wydanym przez profesora Tadeusza Sinkę („Wiązanka wierszy Owidiusza, Lwów — Warszawa, Książnica Polska T. N. S. W., MCMXXIII;) na drugą składa się szereg utworów własnych, parafrazujących motywy Owidiusza, lub związanych z nimi zasadniczym wątkiem myślowym". Pierwszą cechą przekładów, która rzuca się odrazu w oczy, jest wprowadzenie rymu i podział na strofy. W wierszu-prologu („Dziwne są książek koleje") autor tłumaczy się z tej licencji:

...rymy nasze nieśmiałe
Tak w cieniu kryją się skromnie, że mogą się wydać białe.
Nie łatwo jest łódź prowadzić po ciężkich fal heksametrze,
I nie zatonąć: więc może przekład tym rymom zawdzięcza
Złudzenie śpiewu wioślarza..."

Strofa, której użył p. Glinka, ma b. kunsztowną i oryginalną budowę. Składa się z dwóch zwrotek czterowierszowych związanych muzycznie rymem drugim i czwartym swoich wierszy. Układ rymów jest taki: a b a c — d b d c Rym c jest męski, wszystkie inne żeńskie. Przy kołyszącym rytmie 16-to lub 15-to zgłoskowego sześcioakcentowego wiersza (odpowiadającego, podobnie, jak zbliżony doń wiersz Mickiewicza: „Skąd Litwini wracali" w „Powieści Wajdeloty" — najlepiej heksametrowi Owidiusza) — ten porządek rymów nadaje tokowi wiersza przedziwną rączość i melodyjność. Tłumacz, mimo że ograniczył swą swobodę językową i syntaktyczną tak misternym schematem wersyfikacyjnym, to przecież w wielu miejscach odtworzył teks z zadziwiającą wiernością, co widać np. w pieśni „Cztery wieki ludzkości".

Główną wszakże zaletą pracy p. Glinki jest wspaniały język i styl. Niewątpliwie jest to przedewszystkiem owoc pietyzmu, z jakim autor starał się odzwierciedlić w polszczyźnie klasyczny, rzeczowy, lśniący polotem i dowcipem, jasny i piękny poemat Owidiusza. Ale jeśli ten zamiar mu się udał, to dlatego, że sam posiada niezwykły smak literacki, że operuje polszczyzną bogatą, jędrną i lekką i ma talent poetycki, który czyni „Wieczystą przemianę" lekturą interesującą i przyjemną. (Int).

[1]) Zygmunt Glinka: Wieczysta przemiana, Warszawa 1938, str. 210. Skład główny: „Biblioteka polska".

PUBLICYSTYKA I LITURGIA

Juliusz Nowak-Dłużewski. Formy religijne staropolskiej poezji politycznej. Lwów. Ossolin. 1938. Odb. z „Pam. Liter." R. XXXV. Z. 1—4, str. 21.

CIEKAWA i wartościowa rozprawka omawia dział piśmiennictwa politycznego w dawnej Polsce, dział poza paru wybitniejszymi autorami (jak: Wespazjan Kochowski, Franciszek Zabłocki, ks. Franciszek Jezierski, J. U. Niemcewicz, biskup Kossakowski) nagół uważany poniżej literatury.

Rozważane przez autora okazy publicystycznej muzy, dzieła w większości wypadków anonimowe, interesują nas dzisiaj nietylko jako polemiczne i dialektyczne przełamanie nurtujących prądów i zmiennych nastrojów społeczno-politycznych, — ale w niemniejszym stopniu frapują swą formą, często nad wyraz osobliwą, prawie zawsze swoistą w sarmackim kolorycie.

Forma staropolskiej poezji politycznej została w dużej mierze zaczerpnięta z liturgii i praktyki religijnej (katolickiej). Dzieje się tak na przestrzeni wieków. Nie mają tutaj wpływu zmiany, jakie u góry społeczeństwa zaszły w epoce oświecenia. Najszersze warstwy ludowo-szlacheckie zawsze jednako, na modłę religijną, tak na codzień spoufaloną z życiem polskich dworków, formują swoje przeżycia polityczne. Fakt powyższy daje ciekawy wgląd w istotę polskiego bytu narodowego, w każdej epoce integralnie złączonego z głęboko wrosłym katolicyzmem i jego kulturą społeczną.

Natura publicystyki politycznej, myślenia dialektycznego — nasuwała dogodną formę trawestacji. Owa trawestacja sięga po wzory niekiedy do literatury klasycznej, w olbrzymiej natomiast większości wypadków opiera się na bardzo bogatej twórczości religijnej Kościoła i społeczeństwa katolickiego w Polsce.

Ta forma pośredniego oddziaływania na czytelnika w niczem nie umniejszała lirycznej siły natchnienia lub oburzenia u pisarza politycznego, owszem — dawała mu do ręki argumenty i motywacje zrozumiałe dla każdego odbiorcy.

Najczęstszą była trawestacja zwykłej pieśni religijnej. Potem sięgano do modlitwy codziennej, pacierza, a więc: Modlitwy Pańskiej, Zdrowaś Maria, Wierzę i Dekalogu.

Tutaj cytujemy za autorem urywek z rokoszańskiego „Pacierza do Króla Jegomościa" (Zygmunta III), wymierzonego przeciw szwedzkiemu dynaście:

„Ojcze nasz, królu polski, który mieszkasz w Warszawie,
U nas w niedobrej sławie,
Święć się w Szwecyjej imię Twoje,
Gdzie są z dawna Twe pokoje..."

Albo napastliwy pacierz Marcina Lutra:

„Lutrze knechto, chamska jucho,
Coś to mówił źle i głucho Ojcze Nasz;
W post żreć każesz szpek z świnininką
Z szelmą twoją, psią Katrinką, Któryś jest
Wściekły i żądzą opętany etc.,"

Trawestowano także w staropolskiej poezji politycznej hymn ambrozjański *Te Deum laudamus*, hymn Tomasza z *Cellano Dies irae*, *Veni Creator*, suplikacje „Święty Boże", litanie, kolędy, „Gorzkie żale" i „Drogę krzyżową".

Odrębny dział trawestacji czerpie z liturgii Mszy św., spowiedzi i rytuału katechizmowego (np. „Katechizm o tajemnicach rządu polskiego" Franciszka Jezierskiego, w roku 1790) J. U. Niemcewicz trawestuje księgi Starego Testamentu gdy bije w Targowicę i Szczęsnego Potockiego („Fragment Biblii Targowickiej, Księgi Szczęsnowe"). Użytkowano także i nowy testament, zwłaszcza genealogię Chrystusa i dzieje Jego męki. Wreszcie są autorzy, którzy budują dia-

logi z tworzywa tekstów Starego i Nowego Testamentu, wkładanych w usta poszczególnych figur współczesnych.

Doskonała praca rodzi u czytelnika życzenie pod adresem autora, prześledzenia dalszych etapów rozwojowych poezji trawestycyjnej w nowożytnej literaturze polskiej, mogącej się w tej dziedzinie poszczycić nazwiskami: Mickiewicza, Słowackiego i Kasprowicza.

St. J.

RUCH WYDAWNICZY

Władysław Wolert. Ziemia i lud w twórczości A. Dygasińskiego. Warsz. Inst. Wydawn. „Bibl. Pol." S. A. 1939. Str. 28.

W krótkim szkicu ukazano związek autora „Chłopskiej zagrody" z ziemią i swojskim krajobrazem, z całem bogactwem rysów charakterystycznych wiejskich i małomiasteczkowych.

Dla pokazania, że nikt może z polskich beletrystów nie dał pełniejszego geograficznie obrazu swojego kraju, rysuje autor pomysłową mapkę „rozmieszczenia na obszarze ziemi kieleckiej akcji utworów Adolfa Dygasińskiego" (urodzonego w Niegosławicach koło Skalbmierza), ze specjalnem uwzględnieniem drogi wędrówki „Beldonka" z Balic do Częstochowy.

Niewielka rozmiarami, ale zajmująca praca przynosi nowe dane biograficzne, tyczące wędrówek Dygasińskiego po kraju, jego zainteresowań krajoznawczych, redakcji „Wisły" (1887 — 8) oraz zagubionego jego rękopisu „Przewodnika do Ojcowa" i studiów w terenie (1895 — 9) nad Zamkami polskiemi (od Kazimierza do Ogrodzieńca i od Kielc do Ojcowa), a także rozpoczętej, fundamentalnej monografii Wisły.

St. J.

ZMARLI

Ś. P. ALEKSANDER BRÜCKNER

UMARŁ Aleksandner Brückner. Ogrom jego puścizny naukowej przerasta tak dalece dorobek innych uczonych, że szukając porównania, można Brüknera zestawić, jak czyni Ign. Chrzanowski, jedynie może z Lelewelem — równie zadziwiającym różnostronnością fenomenalnej erudycji i nadludzką pracą. Samo wyliczenie dzieł Brücknera zajęło w wydanej przed 10 laty „Bibliografii" W. T. Wisłockiego książkę o przeszło 100 stronnicach. Dzisiaj, gdy zamknęła się już karta tego nad miarę pracowitego żywota, ilość prac jego określić można liczbą około 2000 pozycyj bibliograficznych, jako plon 62 lat pracy naukowej. Ważniejsza jednak zawartość tej puścizny ogromnej. Słusznie mówi Chrzanowski: „na to, aby godnie ocenić całokształt działalności naukowej, jak Lelawela, tak i Brücknera, trzeba całego szeregu uczonych specjalistów".

Gdy 24-letni docent wszechnicy lwowskiej obejmował w uniwersytecie berlińskim katedrę filologii słowiańskiej, był autorem dwu dzieł, z których pierwsze o wyrazach słowiańskich w języku litewskim, wydane w 21 roku życia, stało się fundamentem jego sławy naukowej. Od tego czasu wzrasta zakres zainteresowań badawczych młodego uczonego, obdarzonego genialną intuicją filologiczną i niebywałą pamięcią. Rok po roku powstają wnikliwe rozprawy, sumienne recenzje, pełne odkryć naukowych dzieła. Pasjonuje go najpierw średniowiecze polskie, gdzie raz po raz odkrywa skarby najdawniejsze. Jemu to przecież zawdzięczamy wydobycie najstarszego zabytku prozy polskiej—kazań świętokrzyskich, wykrytych w oprawie starego kodeksu a przechowywanych obecnie, jak relikwia najcenniejsza w Bibliotece Narodowej. On to wydobywa z pyłu stuleci pierwszy świecki wiersz polski, odnajduje wiele apokryfów kazań polskich i zabytków średniowiecznej naszej poezji.

Później nadchodzi era zainteresowań Kochanowskim i puścizną Wacława Potockiego, którą wydaje z rękopisów. Przygotowuje monografię Reja, a równocześnie znajduje czas na prace językoznawcze, np ogromny tom literatury polskiej po niemiecku (1901), na studia krytyczne i edycje. W 1903 r. wydaje pięć książek, w tym dwutomowe „Dzieje literatury polskiej w zarysie" i studia „Z dziejów języka polskiego", ogłasza 17 rozpraw, publikuje trzy tomy tekstów staropolskich, oraz pisze 25 recenzji.

Długie lata nie słabnie ta ekspansja naukowa Brücknera. W 1905 r. wydaje po niemiecku dzieje literatury rosyjskiej, duży tom kapitalnej monografii Reja, i tom szkiców obyczajowo - literackich „Różnowiercy polscy", wychodzi też po czesku pierwszy tom jego historii literatury polskiej. Rok następny przynosi 4 dzieła, 18 rozpraw i 29 recenzyj naukowych. Nawet wielka wojna nie wiele zmniejsza ilościowo jego prace. Za to lata powojenne dają znów nowe wspaniałe dzieła, jak „Historię literatury rosyjskiej", nowe kilkakrotne opracowania niemieckie i polskie dziejów literatury polskiej, studium porównawcze o mitologii polskiej, setki rozpraw i edycji tekstów, a wreszcie trzy dzieła, które korunują niestrudzony żywot Brücknera: „Słownik etymologiczny języka polskiego" (przygotował przed zgonem 2 poprawione wydanie), „Dzieje kultury polskiej" (również dopełniono dla nowej edycji), a wreszcie „Encyklopedia staropolska", zakończona właśnie w doskonale ilustrowanym wydaniu Trzeski — Everta i Michalskiego.

Pracą i myślą swoją wystawił sobie Brückner pomnik trwalszy nad spiż. Z pracy i myśli jego korzystają od pół wieku i korzystać będą długie lata liczne pokolenia, chociaż nie jeden szczegół zmieni historia, „korektorka wieczna". Tak, jak niejedną zmieniał ze swych śmiałych hipotez sam Brückner za życia.

Pozostało dzieło, odszedł wielki uczony i nieznany, najskromniejszy człowiek. Któż dzisiaj z szerszej publiczności wie, jak Brückner wyglądał, jakie było jego życie, jaka osobowość? Znaliśmy jego niesłabnącą pasję polemiczną, sądy ostre i najżywsze aprobaty, jego styl polski często kapryśny i dziwaczny, zawsze oszczędny nad miarę, osobliwy i własny, jego skróty syntetyczne i błyski myśli oświetlające epoki i postać, bezkompromisowość i śmiałość, — nie znaliśmy człowieka. Cały mieścił się i ukrywał w swem dziele, najrzadziej mówił o sobie.

Po otrzymaniu nagrody literackiej m. Łodzi pisał w 1930 r.: „Jestem uczonym, nie literatem z powołania, ale praca moja miała zawsze na celu głównym literaturę i kulturę, aby wykazać, jak w ciągu wieków w stale odmiennych warunkach pełniej lub słabiej pulsowało życie umysłowe i kulturalne, co rozwojowi przeszkadzało co mu tory prostowało. Wydobyło się przytem z zapomnienia niejeden sąd przedwczesny, wykazało niejeden związek wewnętrzny i zewnętrzny, oświetliło obficiej niejedną postać czy dzieło. To wszystko uwzględniając i skromne moje zasługi i przyczynki nader przychylnie oceniając, raczył Komitet przyznać mi ową nagrodę. Czy na nią istotnie zasłużyłem, wolno mnie i powątpiewać, ale w każdy sposób takie wspaniałomyślne uznanie skromnej a wytrwałej pracy ze strony znawców może i winno być bodźcem dla każdego rzetelnego trudu na polu literatury i jej pogranicza"...

Tak pisał Aleksander Brückner, największy polski znawca kultury narodowej.

PIOTR GRZEGORCZYK

Do numeru obecnego dołączamy dla dogodności odbiorców „MYŚLI NARODOWEJ" blankiety rozrachunkowe.

Z LISTÓW SENEKI

LUCYLIUSZOWI Seneka zasyła pozdrowienie. Postaraj się, ach! postaraj, mój Lucyliuszu, o to, byś wyłącznie do siebie należał: byś rozporządzał kapitałem oszczędzonego czasu, który ci przedtem zabierano przemocą lub kradziono, lub który sam się gdzieś ulatniał. Bądź przekonany, że na świecie tak bywa, jak ci mówię: pewne godziny są nie twoje, bo ktoś je gwałtem bierze, niektóre tracisz, bo ktoś drugi cichaczem je wykrada, niektóre gubisz, gdyż pozwalasz, by marnie przepadały. Jednakże nie masz większej hańby nad ową, kiedy ściągasz na siebie szkodę przez niedbalstwo. Bo zechciej tylko się przyjrzeć, jak to przeważną cząstkę bytu swojego człek poświęca postępkom nieprzystojnym, wielką — lenistwu, całe życie natomiast — innym sprawom. Czy znasz ty kogoś, co przyznaje czasowi jakąś wartość, kogoś takiego, co docenia, jak drogim jest dzień każdy, kogoś takiego, co rozumie, że z każdym dniem umiera? Błąd nasz polega bowiem na tem, że śmierci wyglądamy, podczas gdy ona w znacznej mierze już przez nas przeleciała. Bo wszystkie lata poza nami śmierć wzięła niepodzielnie. Przeto postępuj, Lucyliuszu, tak właśnie, jak mi piszesz: każdą godzinę twego życia wyzyskuj do ostatka. Włożywszy całą twą istotę w twe każdodzienne „dzisiaj", będziesz o wiele mniej zależeć od następnego „jutra". Człowiek odwleka, czas ucieka.

Nic nie jest naszem, Lucyliuszu, prócz jedynego czasu. Dała przyroda rodzajowi ludzkiemu w posiadanie tylko tę płynną rzecz pierzchliwą, której pozbawia nas, kto zechce. Lecz taka jest już nieprzebrana głupota śmiertelników, iż, uzyskawszy pewne dobra, najbardziej nawet liche, najbardziej podłe i z pewnością do zwrotu bardzo łatwe, bez szemrań biorą na swe barki obowiązkową spłatę, gdy z drugiej strony za dar czasu, jedynej owej rzeczy, której nie zwróci żadna wdzięczność, do długu nikt się nie poczuwa.

Zapytasz pewnie, co ja czynię, wskazówki takie dając? Odpowiem szczerze: naśladuję wystawną gospodarność: prowadzę księgę mych rozchodów. Nie mógłbym rzec o sobie tego, że wogóle nie trwonię, lecz powiem, ile i dlaczego i w jaki sposób tracę. To uczyniwszy, dam ci poznać ubóstwa mego źródło. Ale spotyka mnie to samo, co wielu innych, którzy nie z własnej winy zubożeli: każdy przebacza im, z pomocą atoli nie pośpiesza. Więc jakże będzie? Nie uważam nikogo za biedaka, jeśli ma dosyć, gdy ma krztynę. Co zaś do ciebie, to wolałbym, ażebyś mi oszczędzał — i to już teraz, póki pora. Bo, jak mawiali praojcowie, zapóźna jest oszczędność, gdy w twojej sakwie dno już widać. Na spodzie bowiem pozostają nietylko same resztki, lecz resztki — najmniej wartościowe. — Bywaj mi zdrów i miej się dobrze. — *(Ad Lucilium, 1).*

Przełożył EDMUND ZIÓŁKOWSKI (Krosno)

Uwaga: *Lucius Annaeus Seneca* filozof, ur. w pierwszych latach naszej ery w Kordobie hiszpańskiej (stryj poety Lukana), syn retora, uprawę intelektu miał we krwi. Prócz zdolności wypowiadania i jasnego ujmowania myśli cechowały go upodobania pedagogiczne, którym poświęcił część swego pracowitego żywota, będąc nauczycielem Nerona w latach 49—54. Z zawodu sam retor i sofista, wykazał nader wszechstronne zamiłowania umysłowe, zajmując się (prócz czynnej polityki) w nauce: fizyką, przyrodą i filozofią.

Nietylko filozof lecz i moralista, wyszedłszy z założeń stoickich, aczkolwiek często czerpał z twórczości innych filozofów (oprócz Zenona był dlań mistrzem także Epikur)— z czasem doszedł do poglądu na świat ascetycznego i mistycznego („Listy do Lucyliusza") Owe to „listy" zawierają najgłębsze myśli filozoficzne i moralne Seneki. Sam o tem powołaniu swojem tak się wyraża z troską:

„Pokazuję innym prostą drogę, którą poznałem za późno i już zmęczony szukaniem na prawo i lewo" (*Ad Lucilium, VIII*).

Wskazania Seneki niejednokrotnie zbliżają się do chrześcijaństwa — przeszkadza tylko owo „zmęczenie" końca epoki i chłód stoicyzmu. Nauki jego: jak obchodzić się ze sługami i niewolnikami, jak używać krótkiego żywota, jak być stałych zasad (*semper idem velle atque idem nolle*), jak znosić biedę, cierpienie, chorobę i śmierć, jak pogardzać zmienną opinią tłumu, jak pracować nad wyzwoleniem duszy z więzienia ciała, jak zakładać szczęście i mądrość w cnocie, jak służyć Bogu i zgadzać się z Jego wolą, jak rozmyślać o rzeczach boskich — wszystkie są pełne łagodnej mądrości chrześcijańskiej, miłości bliźniego i pragnienia poznania prawdy.

Tem też tłumaczy się wielka popularność Seneki w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, co się przejawiło w powstaniu apokryficznych listów między Seneką a św. Pawłem. Dopiero uczony Aubertin wykazał ich fikcyjny charakter.

St J.

NA MARGINESIE

— Słysząc o grasowaniu bandytów, zafundowałem sobie porządny zatrzask i zasuwę. Pewnego dnia zastałem na drzwiach kartkę:

„Uważam pańskie zachowanie się za prowokację, za pogwałcenie mego obszaru życiowego. Policzymy się!"

Czy mam odjąć zatrzask?

*

W żałosnem położeniu znalazł się OZN. Zanim się namyślił nad programem zjednoczenia, naród pokazał, że może się zjednoczyć bez jego protektoratu, a nawet wbrew niemu.

*

— Ktoś świeżo nawrócony rzucił w prasie myśl założenia ligi szerzenia entuzjazmu. Wydaje się nieborakowi, że wszyscy potrzebują jak on podniety z zewnątrz.

Ale co na to powie TLEN (Towarzystwo Likwidowania Entuzjazmu Narodowego?)

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA, Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.